# TYDZIEŃ

Nr 30 (54) ROK II

27. VII. 1947

CENA 20 ZŁ



# WIELKI LOT „ORŁA"

# tak i nie

## Za naszym przykładem

POLSKA była pierwszym krajem, który stanął na stanowisku, że ludzie pracy, których uposażenia są zbyt niskie, aby pozwolić na zaspokojenie potrzeb na wolnym rynku, powinni otrzymać artykuły żywnościowe po cenach uprzywilejowanych.

Kraje zachodnie — w szczególności Belgia — hołdowały zasadzie teoretycznej równości wszystkich mieszkańców kraju. Obecnie jednak Belgowie doszli do wniosku, że nie ma celu dokładać do ludzi dobrze zarabiających. Niestety, nie poszli całkowicie za naszym przykładem i zamiast utrzymać kartki dla pewnej kategorii pracowników, postanowili wypuścić specjalne bony drożyźniane dla najniżej uposażonych robotników i urzędników. Ułatwi to niewątpliwie położenie słabych ekonomicznie warstw, ale nie zabezpieczy ich przed dalszymi zwyżkami cen.

## Podróż marszałka Montgomery

SZEF sztabu imperium brytyjskiego udał się niedawno w podróż do Australii i Nowej Zelandii dla omówienia zagadnień związanych z obroną tych dwóch dominiów.

Samolot marszałka przeleci nad krajami, które coraz wyraźniej odłączają się od macierzy brytyjskiej lub po prostu uwalniają się od ucisku kolonialnego i kapitalistycznego w wydaniu angielskim.

Cały Bliski i Środkowy Wschód coraz wyraźniej staje się zależny od amerykańskich interesów naftowych, które są jedynym hamulcem w dążeniu do istotnej niepodległości. Indie przekształcają się w Dominia. Indonezja stała się płonącym wulkanem. Burma nie chce być dominium, lecz pragnie zostać państwem naprawdę niepodległym. Jednym słowem droga do Australii nasuwać będzie marszałkowi sporo materiału do refleksji.

## Komplikacje wokół Indii

SPRAWA Indii, które mają stać się już nie jednym, ale dwoma dominiami angielskimi komplikuje się coraz bardziej. Maharadżowie Heyderabadu i Travankore buntują się zupełnie wyraźnie na samą myśl o przyłączeniu ich państw (chodzi o dwa duże księstwa) do Hindustanu czy do Pakistanu.

Jak wiadomo, wicekról Indii, Lord Mountbatten zarządził przeprowadzenie plebiscytu na terytoriach zamieszkałych przez obydwie grupy ludnościowe. Głosowanie odbędzie się nie tylko w Bengalu, ale również u podnóża Himalajów zamieszkałego przez wojownicze szczepy górali.

Trudno opisać zdziwienie, jakie zapanowało w Londynie, gdy pewnego dnia rząd Afganistanu doręczył notę domagającą się, aby w pytaniach do górali, zamieszkałych po drugiej stronie przełęczy Khyber, wyjaśniono również, czy pathanowie, którzy „zostali siłą oderwani od Afganistanu dla zapewnienia bezpieczeństwa interesów angielskich" życzą sobie powrotu do ojczystego Afganistanu.

## Przebudzenie nacjonalizmu na wyspie Ceylon

WYSPA Ceylon zawdzięcza swą popularność herbacie. Poza tym nie wiele wiadomo o niej i o jej mieszkańcach. Tymczasem wyspa ta posiada olbrzymie znaczenie strategiczne i gospodarcze. Ludność składa się z Syngalezów, wyznających Buddyzm i posiada samorodną kulturę o tradycji więcej niż dwudziestowiekowej. Syngalezi zachowali swoją kulturę mimo piętnastowiekowego panowania Hindusów, półtorawiekowego panowania Portugalczyków i blisko trzechsetletniego panowania Holendrów, a następnie Anglików.

W czerwcu roku bieżącego mówiono poważnie o przekształceniu kolonii tej na dominium. Przynajmniej mówiono tak w stolicy Ceylonu Kolombo. Gdy delegacje przyjechały do Londynu, okazało się, że mowa jedynie o pewnych ustępstwach na rzecz ludności miejscowej i większym samorządzie. Anglicy nie są skłonni rozluźnić swego panowania nad tą wyspą czy to ze względów wojskowych, czy też ze względu na to, że pokojowe usposobienie Syngalezów nie grozi komplikacjami. Nie zanosi się na to, aby mieszkańcy Ceylonu wzorem Indonezyjczyków i Viet-Namu mieli chwycić za broń.

## Australia boi się agresji japońskiej

MIMO wielkich sympatii jakie niewątpliwie istnieją w Australii dla Amerykanów, mieszkańcy tego odległego kontynentu nie żywią zaufania do rezultatów polityki okupacyjnej generała Mac Arthura. Mówi się stale o konieczności rozbudowania obrony Australii, aby okres, gdy groziła inwazja japońska nie powtórzył się. W czasie ostatniej wojny w krytycznym momencie Australijczycy dysponowali dla obrony całego północnego wybrzeża zaledwie 2.000 żołnierzy, wyposażonych w 600 karabinów. Mieli oni obronić wybrzeże o długości blisko 2.000 kilometrów.

Wszystkie jednak plany obrony są zależne od podniesienia liczby mieszkańców. Dlatego też Australia prowadzi propagandę za imigracją. Minister imigracji Caldwell oświadczył, że Australia pragnie przyjąć 20 milionów przybyszów, pochodzenia angielskiego. Doprowadziło by to do wyludnienia Wielkiej Brytanii. Nie zanosi się jednak na to, gdyż zaledwie 15.000 Anglików wybiera się w przyszłym roku do Australii. Nie zanosi się również na uspokojenie obaw Australijczyków przed Japończykami, zwłaszcza, że coraz częściej mówi się w Ameryce o odbudowie Japonii równocześnie z odbudową Niemiec.

## Prasa podziemna w Hiszpanii

WEDŁUG ostatnich danych, ukazuje się w Hiszpanii od 50 do 70 nielegalnych pisemek. Są one wydawane przez poszczególne grupy polityczne i społeczne wchodzące w skład republikańskiego frontu antyfrankistowskiego. Dysponując dobrze zorganizowanym serwisem i nasłuchem radiowym pisma te są jedynymi wyrazicielami niezależnej opinii publicznej w Hiszpanii.

Pisma są kolportowane po całym kraju. Dwa z nich ukazują się w Madrycie, dwa w Alicante, jedno w samym Madrycie, jedno w Walencji, inne w Katalonii. Nawet na wyspach Balearskich ukazuje się tajna prasa. Partyzanci wydają dwa pisma „Humanitat" i „Ataque".

Ze względów technicznych większość jest odbijana, tak jak nasze biuletyny z czasu okupacji, na powielaczach. Cały szereg pism wychodzi w ładnej formie graficznej i bardzo poważnych nakładach. Szczególną popularnością cieszy się nielegalne pismo „Don Quijote".

## Wallonowie w defensywie

WALLONOWIE, jak nazywają siebie mówiący po francusku Belgowie, byli do chwili wybuchu pierwszej wojny światowej niepodzielnymi panami całej Belgii. Flamandowie, choć korzystali z równouprawnienia językowego nie liczyli się prawie zupełnie. Pod wpływem popieranych przez Niemców ruchów progermańskich Flamandowie odnaleźli swoją prężność polityczną i w czasie między pierwszą a drugą wojną światową, wysunęli się na stanowisko całkowicie równorzędne w państwie.

Obecnie po drugiej wojnie światowej stali się silniejsi od Wallonów. Wpłynął na to nie tylko większy przyrost ludności, lecz również większe bogactwo i pracowitość Flamandów. Wallonowie znaleźli się w defensywie. Na niedawno odbytym zjeździe narodowym Wallonii mówiono o obronie zagrożonych interesów wallońskich i domagano się zmiany ustroju Belgii. Wallonowie, którzy niegdyś sprzeciwiali się wszystkim dążeniom autonomistycznym Flamandów, chcą dziś sfederowania dwóch równorzędnych prowincji: Flamandii i Wallonii.

Nie jest wykluczone, że doczekają się realizacji tego żądania.

## Księstwo Lichtenstein

MALEŃKIE księstwo Lichtenstein położone w kotlinie górskiej między Szwajcarią a Austrią, połączone ze Szwajcarią unią monetarną i celną jest główną przystanią wielkich trustów i koncernów całego świata. Istnienie państewka, udzielającego schronienia biurom, zajmującym się jedynie przeksięgowywaniem zysków, aby uniknąć opodatkowania w krajach, w których te zyski zostały osiągnięte, jest oczywiście na rękę kapitalistom wszystkich krajów. W Lichtensteinie bez względu na wysokość dochodów płacą jedynie 1,5 procent podatku dochodowego, gdy np. w Anglii podatek dochodzi do 60 procent, a w Stanach Zjednoczonych wynosi ponad 25 procent.

Nie wolno się więc dziwić, że maleńkie księstwo nie ma problemów socjalnych, gdyż jest jedynym krajem na świecie, któremu kapitalizm naprawdę przynosi korzyści.

## Dwa zagłębia węglowe

ZAGADNIENIE węgla z Zagłębia Ruhry nie schodzi ze szpalt gazet, a szczególnie wiele miejsca poświęca się temu problemowi we Francji i Anglii. W tej dyskusji zapomina się często o Zagłębiu Saary, które od chwili zajęcia przez wojska sojusznicze pracuje dla gospodarki francuskiej, chociaż stanowi nadal część Niemiec. Warto porównać osiągnięcia administracji francuskiej z rezultatami uzyskanymi przez Anglików. W Zagłębiu Saary wydobycie osiągnęło 80 procent stanu przedwojennego, w Ruhrze tylko 51 proc.

Anglicy i Amerykanie, którzy nie tylko utrzymują wojska okupacyjne i własne urzędy administracyjne ze swoich własnych funduszów i dopłacają oprócz tego do wyżywienia Niemców, uważają, że nie uda się powiększyć wydobycia węgla w Zagłębiu Ruhry bez dalszych milionowych wkładów dolarowych. Francuzi nie zamierzają nadal wkładać ani jednego centyma do Zagłębia Saary. Rozwiązali zagadnienie w sposób zdradzający wielką znajomość psychiki niemieckiej. Cały personel nadzorczy i techniczny w kopalniach jest bądź czysto francuski, bądź też wyszkolony specjalnie przez Francuzów. Górnicy otrzymują nie tylko zwiększone przydziały żywnościowe. Na miejscu wydawane są posiłki dodatkowe przed zjazdem do szybu i przy wyjeździe. Wreszcie, ponieważ dwudniowy zarobek dolowy wystarczy na zapłacenie za przydziały żywnościowe, wprowadzili specjalną ewidencję obecności. Kto zaniedbuje się w pracy zostaje skreślony z listy, która uprawnia do pierwszeństwa przy otrzymywaniu niestałych dodatków towarowych. Dzięki temu frekwencja górników jest o połowę większa niż w Zagłębiu Ruhry.

Nie ulega wątpliwości, że w sprawie niemieckiej Anglosasi mogą się bardzo wiele nauczyć od Francuzów.

## Henry Wallace o spółdzielczości



W czasie swojej bytności w Anglii Henry Wallace odwiedził hurtownię spółdzielczą w Manchester. Przy tej okazji powiedział m. inn.: „Wasz system produkcyjny i rozdzielczy jest sprawiedliwy i trwały, gdyż ruch spółdzielczy polega na zjednoczeniu wysiłków gospodarczych wszystkich obywateli dla dobra wszystkich. Wasze hasło: „Jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego" jest jedyną doktryną, która może w sposób trwały zapewni pokój światu. Dziś macie przed sobą wielką szansę, aby wiekową historię spółdzielczości uwieńczyć nowym przyczynkiem do postępu ludzkiego".

### NASZA OKŁADKA


Rys. K. Mann.
ŻNIWA

### Ostrze na ostrze

## KANIKUŁA I TROJACZKI

**Najtrudniejszą sztuką jest redagowanie gazet w tzw. tradycyjnym okresie ogórków, czyli inaczej mówiąc, kanikuły. Okres ten przypada w lecie, gdy mniej lub więcej zasłużony urlop, dziś demokratycznie ochrzczony mianem wczasów, każe nam szukać zapomnienia trosk codziennych na łonie matki — natury.**

**O czymże ma pisać kolega—dziennikarz, gdy ponura cisza zalega sejmowe i ministerialne kuluary, gdy nawet osławiony plan Marshalla okazuje się kanikularnym figlem spłatanym biednej Europie — coś, jak legendarny wąż przedpotopowy w szkockim jeziorze Loch Neis, zdemaskowany swego czasu jako wielki zmurszały pniak — ot, po prostu dziennikarska kaczka...**

**— nie ma o czym pisać... — wzdycha rzewnie kolega — dziennikarz i ku swemu pocieszeniu, a uciesze czytelników rozdyma do rozmiarów sensacji byle wzmiankę.**

**W takich chwilach natchnienia rodzą się właśnie na łamach gazet owe potwory morskie, niewiadomego pochodzenia srebrne płytki latają jak szarańcza nad Stanami Zjednoczonymi, opętani manią kolekcjonerstwa sierżanci amerykańscy w zastępstwie wysłanników obcego mocarstwa, wykradają plany bomby atomowej, na świat przychodzą tradycyjnie cielęta o pięciu nogach i czworaczki, lub conajmniej — trojaczki.**

**Czasami zdarza się, że dobry los uśmiechnie się do biednego męczennika za redakcyjnym biurkiem i rzeczywiście jakieś trojaczki ujrzą światło dzienne.**

**Tak też stało się w tym roku. Trojaczki we wsi Plocisz uszczęśliwiły swych rodziców, P.S.W. i redakcję „Gazety Ludowej". Co znaczy Grecja, co znaczy fiasco konferencji paryskiej wobec tego wydarzenia?**

**W obszernej wzmiance czytamy szczegóły uroczystości chrztu trzech „synów stronnictwa". Aż się prosi parafraza mickiewiczowskich „Trzech Budrysów":**

**„Ma Hyjkowa trzech chłopców", tęgich jak ona peeselowców..."**

**Dowiadujemy się z „Gazety Ludowej, iż chłopcy czują się doskonale, są opaleni i zadowoleni z życia.**

**Jednakowoż, czynny udział ich rodzicielki w akcji wyborczej — co podkreślił jeden z ojców chrzestnych w zastępstwie prezesa Mikołajczyka — odbił się prawdopodobnie na układzie „Małej Trójki".**

**Pierwszy z trzech braci otrzymał na imię Wincenty, drugi Stanisław, trzeci — Maciej. I oto, co się stało, według danych „Gazety Ludowej": imiennik Witosa, zuch chłopak przybrał na wadze aż 3280 gramów. Na drugie miejsce, po nim wysunął się imiennik marszałka Rataja — Maciejowi przybyło 2870 gramów. Wyprzedził on w ten sposób swojego trzeciego braciszka, Stanisława, który waży o cały kilogram mniej, niż rodzeństwo i cofnął się na ostatnie miejsce. Przybyło mu bowiem tylko 2200 gramów. Biedny, szczuplutki Staś. Pewno się martwi kłopotami swego znakomitego imiennika — taki mały procent...**

**AVIS**




NA Zachodnim Pomorzu — „zachodnim" o tyle, o ile myślowo pozostało na zachód od wąskiego nawiasu, ograniczającego w międzywojennym okresie nasz dostęp do morza — stosunkowo niedaleko od Gdyni leży mały port handlowo-rybacki Ustka.

ZDARZYŁO się, że znalazłem się w opuszczonym po wysiedleniu Niemców mieszkaniu dla przejrzenia pozostawionych książek. Jak wynikało z pozostawionych papierów i zapisków właścicielem mieszkania był oficer niemieckiej floty handlowej, człowiek pamiętający „złoty wiek" żaglowców, bywały na Dalekim Wschodzie, jeniec japoński w czasie pierwszej wojny światowej.

Znalazłem tam wyjątkową rzadkość na poniemieckich terenach — pokaźną wielojęzyczną bibliotekę; szaber udał się nadspodziewanie. Poza mnóstwem ciekawych wycinków z pism i gazet angielskich z okresu Wielkiej Wojny, poza mnóstwem książek z dziedziny fachowo-morskiej, wyszperałem

„Degenerate Germany"

by Henry de Halsalle Published ut 8, Essex Street, Strand, by T. Laurie, Ltd. Dwudziesty tysiąc 1915.

KSIĄŻKĘ tę uważano w swoim czasie prawdopodobnie za paszkwil, paszkwil pomocny wprawdzie anglosaskiej propagandzie w budzeniu ducha bojowego wśród prostodusznych i flegmatycznych Tommies, ale niegodny i wspomnienia w okresie powojennej „emancypacji lewicowych i pacyfistycznych Niemiec".

Czytana dziś z perspektywy doświadczeń czasów pogardy, mimo wielu naiwności w traktowaniu problemu; sprawia wstrząsające wrażenie, szczególnie nam bliska przez nasycenie gorącą nienawiścią i wstrętem, wytłumaczalne — jak na angielskiego autora — chyba tylko gallijskim nazwiskiem i prawdopodobnie takimż pochodzeniem de Halsalle'a. Aktualność jej ma jeszcze inny aspekt. Pisana w okresie przytłaczających zwycięstw oręża niemieckiego, w obliczu niepewności nadchodzących miesięcy, demaskuje rzeczywisty charakter Niemiec i ich ówczesnego wodza, Wilhelma II, odsłaniając hipotetyczne perspektywy Europy w razie klęski.

Oto kilka wyjątków. W tok myśli i uczucia piszącego wprowadza z miejsca dedykacja:

„Dla tych niewielu, zbyt jednak jeszcze licznych Brytyjczyków, którzy dotąd ulegają błędnej iluzji, jakoby Niemcy były godnym szacunku pokojowo nastrojonym, i miłym narodem, sprowadzonym jedynie na manowce i źle reprezentowanym przez swój zbrodniczy rząd".

Przedmowa autora — wydawało by się — nawiązuje do dzisiejszych czasów:

„Wszyscy znamy teutońskie przechwałki, jakoby Niemcy byli rasą wyższych istot; wydaje się, że przez ich częste powtarzanie nawet niektórzy z naszych mężów stanu ulegli w mniejszym lub większym stopniu hypnozie.

Pierwszy degenerat Europy[1]) powiedział kiedyś:

„Nasz naród niemiecki stanie się granitowym blokiem, na którym Dobry Bóg może zakończyć swe dzieło cywilizowania świata. Wtedy zrealizowane zostaną słowa poety: „Świat zostanie pewnego dnia uleczony przez niemiecki charakter".

Czyż nie przypomina to nam tak częstych chwil wokacji współczesnego Pierwszego Degenerata Świata do... Opatrzności?

„Czytelnik na podstawie zawartych w książce faktów dojdzie z pewnością do przekonania, że nie świat, lecz niemiecki „charakter" właśnie wymaga „leczenia"; że teutońskie ludy centralnej Europy są nie wyższą, ale niezaprzeczalnie niższą i zdegenerowaną rasą, którym w najwyższym stopniu niebezpiecznie byłyby pozwolić na utrzymywanie się w pozycji mocarstwa europejskiego; że wreszcie Niemcy są ostatnim narodem na ziemi, który ma prawo śnić o panowaniu nad światem".

„Niemcy są krajem wolnych instytucyj.

...Niemiec jest tylko niewolnikiem PAŃSTWA, na sam dźwięk imienia którego, drżą mu kolana ze strachu".

„Truizmem jest często powtarzane zdanie, że kulturę i charakter danego narodu można osądzić przez poznanie pozycji społecznej jego kobiet.

... Kobieta niemiecka jest najbardziej uciśnioną wśród kobiet cywilizowanych społeczeństw".

„O seksualnej niemoralności tak uderzającej w odniesieniu do obu płci w Niemczech, świadczą właśnie niemieccy statystycy, a statystycy nie zawsze są wystarczającym autorytetem w takich sprawach, — iż są one najbardziej nieobciążonym krajem w Europie. Niemiecka ludność jest również rozwiązła, jak amerykańscy murzyni... Płciowa rozwiązłość kobiety niemieckiej tak jest powszechna i charakterystyczna,[2]) że zmusza do konkluzji, iż kobieta niemiecka jest parszywą owcą wśród ludów ziemi".

„...Rozpowszechniony homoseksualizm...".

„...czytelnik musi wybaczyć autorską uprzejmość w używaniu określeń „lady" i „gentleman" w odniesieniu do Niemców, którzy w rzeczywistości, ani nigdy nie wyprodukowali tego typu człowieka, ani nie rozumieją znaczenia tych słów, nie posiadając ekwiwalentu w swym języku".

„...Niemcy tylko, co ich Kaiser z dumą wciąż powtarza, są „solą ziemi".

„...Czyż nie są to wszystko oznaki narodowej histerii, narodowej halucynacji? A hymny nienawiści[3]) i modlitwy do Boga o ukaranie Anglii nie są niezbitymi symptomami chorobliwej infekcji? Czyż nie powinno się Niemiec uważać za naród psychopatologiczny i utrzymywać nad nim zawsze jak najściślejszy nadzór, sprawowany przez mocarstwa?... Na zawsze traktować je trzeba, jako pariasa narodów".

„Wszelkie zło przychodzi z Niemiec", mówi duńskie przysłowie".

Z listu Frederica Harrisona do autora książki:

„Wierzę, że prawdziwym jest paradoksalne wyjaśnienie, iż Niemcy nie podrażnieni i na swoim terenie są ostentacyjnie łagodni i mili zato w grupach i w podrażnieniu wybuchają każdą formą zbrodni i okrucieństwa. Wrodzony temperament i wychowanie skłania ich ku intelektualistycznemu i spekulatywnemu podejściu do rzeczy — całkowite przeciwieństwo praktycznych Brytyjczyków — w następstwie czego realizują swe wyimaginowane cele z całkowitym zapoznaniem zdrowego sensu, moralności czy obyczajności.

Od dziecka tresowani w niewolniczym posłuszeństwie dla „pana",[4]) — w psiej dyscyplinie posłuszeństwa dla rozkazów, przełożonych, nawet w życiu prywatnym i osobistej moralności naśladują każdy, nawet poniżający objaw życia „Jego Majestatu" i „góry".

Nie będę przytaczał dalej tekstów, by nie nudzić rzeczami nam Polakom dobrze znanymi. To, cośmy przeczytali jednakże dobitnie świadczy o doskonałej znajomości spraw niemieckich, budząc pytanie: czemu ze strony angielskiej dopuszczono do hekatomb II Wojny Światowej? Czemu, posiadając — jak wynika choćby z załączonych w omawianej książce recenzji prasowych, listów wybitnych polityków i znajomych osobistości itp. dokładne studia odnośnie istotnego charakteru dążeń niemieckich, postawiono na niemieckiego konia w imię „balance of power", w aktualnym wypadku w imię niedopuszczenia do hegemonii Francji w Europie.

Nie jestem wrogiem Anglii. Daleki jestem od psioczenia na Anglię. Ani Zaruba, ani sam nawet nie kwapiący się do powrotu Janusz Meissner z wysokości łam „Przekroju" nie przekonają mnie, że naród leniuchów, półgłupków i tępaków mógł zbudować The British Empire i utrzymać je przez dwie burze wojenne. Jednak przestałem wierzyć w Pierfidnij Albion, jak to określili Rosjanie, w rzeczywistą dalekowzroczność polityki brytyjskiej, mimo, że i w tej wojnie, jakby na złość teorii prawdopodobieństwa, Anglia przegrała wszystkie bitwy, prócz ostatniej, a co znamienniejsze, wprowadziła swe armie na arenę dopiero w ostatnim akcie. Przestałem wierzyć nie na podstawie naszych prasowych informacji o zachwianiu imperium przez wzrost potęgi U.S.A., czy fermentacje w indyjskim garnku, lecz na podstawie całkiem innych obserwacji i przesłanek i dlatego myślę, że nie od rzeczy byłoby wznowić książkę De Halsalle'a nakładem polskim i podarować Anglii, ot, choćby przez British Council, z pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy.

**W. Zubrzycki**

---

1) Wilhelm II (przyp. aut. art.).

2) Znawcy stosunków na Ziemiach Odzyskanych wieleby natomiast mogli powiedzieć. Szczególnie charakterystyczna była gotowość Niemek do „Fraternizacji". Oczywiście nie bez kozery. I nie bez prób wygrywania swych atutów dla pokłócenia Rosjan z Polakami i vice versa.

3) „Wir Fahre gegen Engeland i tp. (Przyp. aut. art.").

4) W ostatniej wojnie i przed nią w posłuszeństwie dla wodza. Wodzostwo na każdym szczeblu życia państwowego i społecznego było jednym z podstawowych spoideł budowli hitleryzmu. (Przyp. aut art.).

# „TYDZIEŃ" NA WYBRZEŻU



W różnych miastach całego naszego wybrzeża popularni artyści estradowi: ulubienica publiczności Helena Grossówna i b. zdolny konferansjer — satyryk Antoni Jaksztas, urządzają swoje gościnne występy. Ludność wybrzeża wita b. serdecznie tych „siewców radości", a na widowiskach braknie miejsc nawet stojących. Hecię Grossówną, która z powstania warszawskiego poszła jako żołnierz do niewoli, powróciła do kraju i na scenę, podziwiamy na wybrzeżu w doskonałych lekkich piosenkach. Wdzięk i młodość zachowała bez zmian ta nasza niezmiernie popularna gwiazda filmowa i sceniczna. Antoni Jaksztas to inteligentny konferansjer Jego satyry zresztą b. złośliwe, są naprawdę dowcipne i wywołują ból policzków (od śmiechu).

Oto na zdjęciu nasza miła para aktorska z zainteresowaniem przegląda „Tydzień" nad polskim morzem w Ustce i przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia wszystkim czytelnikom „Tygodnia". Ż.

**Jan Drda** *)

# NIENAWIŚĆ

Zapadał zmierzch. Jarzyły się białymi i kolorowymi światłami stłoczone na rynku karuzele, huśtawki i strzelnice. Chłopaki libenieckie **) batiary z ikrą, jak z dumą o sobie mawiali w przedmiejskim slangu, wysoko rozhuśtywali łódeczki pod sam dach i to nie tyle, aby ucieszyć dziewczęta, ale by podrażnić piegowatych, krzywonogich i wyraźnie ofermowatych żołnierzy niemieckich, spędzonych z górskich wsi celem załatania dziur, jakie jedna rosyjska zima powyrywała w ich wojsku. Ej, żeby to ich można choć raz wyrżnąć zdrowo w zęby, dopaść i potyrać nimi w ciemnej ulicy, myślał ten i ów, mierząc oczami wałęsające się między budkami szarozielone wojskowe robactwo. Z męczącej i niezaspokojonej bezsilności choć na huśtawkach wyciągali się przed Niemiaszków, niech choć widzą wołowate górale, co potrafi zręczny praski chojrak, choć w ścisku deptali im po buciorach, albo z głupia frant podstawiali nogę przed schodkami karuzeli. A Niemcy, nie rozumiejący niczego, ogłupiali z samouwielbienia przeciskali się między wrogim tłumem, daremnie zagadując w swej gardłowej, tak podobnej do dławienia gwarze: dziewczęta czeskie odwracały się od nich z jawnym grymasem; wreszcie docisnęli się do lady strzelnicy, do karabinków i tarcz z figurkami w kształcie ludzi, do tej prymitywnej alegorii mordowania, która była im bliższa od wszystkiego innego. Teraz dopiero poczuli pewną ziemię pod nogami, to była dla nich okazja pokazania się.

— Schau, Ferdi, ein echter Bolschewist! — wskazywali sobie groteskowe figurki szewców, skośnookich cyganów i niezgrabnych myśliwych i z naiwną pychą strzelali lotkami do szerokich tarcz, wrzeszcząc z uciechy, kiedy udało im się przewrócić jakąś z figurek. Strasznie to było prościutkie, ot w sam raz dla zdziecinialych, Lojza Mrózek, szofer i za dawnych, wolnych czasów kapral z dwoma medalami za strzelanie nie mógł wytrzymać ze złości. Podciągnął spodnie, rozepchnął rząd gapiów i rzucił na pult dwie korony:

— Panie szef, daj no mi pan tę flintę.

Ten dopiero pokazał szkopom, jak się to nieomylnie „stuka" do lekkich, tańczących na wierzchołku wodotrysku, kuleczek z bzowego rdzenia, jak zdmuchnąć balansujący kawałek lusterka, słabym błyśnięciem dający okazję do strzału. A po tym cisnął pustą flintę na pulpit. Było to jak jakaś polityczna demonstracja. Któraś z dziewczyn zaniosła się cienkim, szyderczym śmiechem, równocześnie zahuczało kilka męskich basów i ktoś nieznany klepał Lojzę po ramieniu. Żołnierze niepewni ciągnęli oczami po zbiegowisku, poczuwszy nareszcie jak naładowane jest ono wrogością niby prądem elektrycznym.

Takie chłopaki, a nie odważyli się strzelić — krzyknęła naraz jakaś baba w chustce i jakby zlękła się swej zbrodni szybko cofnęła się w głąb kłębiącego się tłumu, który zahuczał potakująco.

Nima strachu, matko, boć my sobie jeszcze postrzelamy! — Ledwie się Lojzowi wyrwało z gęby, już byłby to najchętniej połknąć razem z językiem. Zobaczył przed sobą paskudnego, suchego człeczynę, o twarzy prawie zielonej, w krótkim, czarnym palcie z czarnym wytartym na krajach aż do szarości dęciakiem, z oczami zimnymi jak podkowiarka ***). No, serwus, kapuś mnie przyuważył — błysło Lojzowi przez głowę i na całym ciele poczuł silne dotknięcie tych paskudnych, ostrych ślepiów. Był jeszcze czas na ciemne kąty uliczek łączących się z rynkiem, kryjówki jego dziecinnych łobuzerii wprost nęciły do takiego wybiegu. Nawet gdyby z tym szpiclem poczęło biec całe stado durnych gapiących się z rozdziawioną gębą szkopów, napewno by ich Lojza wykiwał, w kilku sekundach byłby nad rzeką. Ale zła duma, która go naraz ogarnęła nie pozwala im uciekać. Przecież oprócz tych szarych zimnych oczu, które przewiercają go nawskroś, czuje na sobie jeszcze dziesiątki innych, są to oczy podziwiające go, zachwycone, oczy, które milcząco patrzą na niego z szacunkiem. Więc odchodzi po maleńku, tak pomału, jak tylko potrafi, choć za plecami czuje szpiega, chociaż w rozgwarze słyszy szelest jego kroków. Już go ma po lewicy, czuje, że za chwilę zacznie się nieszczęście. Naraz ów człowiek pociąga Lojzę za rękaw.

O co się rozchodzi — krzyczy Lojza ostro, bo zdaje sobie sprawę, że w tej grze publiczność jest po jego stronie. Zajrzał z bliska w papierową, bladą, zasuszoną w ostre fałdy twarz, w zawzięte i zaostrzone oczy.

Na chwileczkę bym pana przeprosił... dęciaczek podciąga swój krótszy krok od kroku Lojzy, nie puszczając przy tym jego ramienia. Frajer Lojza przegapia ostatnią okazję. Nie uderza prawicą, która sama zwinęła się w kieszeni w kułak, nie ucieka w ciemność i tłum. Jak baranek idzie obok tego człowieka na sam kraj rynku, daleko od oczu publiki, ba, zdałoby się, prosto w zasadzkę. Dopiero, kiedy są sami, zatrzymują się.

— Pięknie pan strzelał.

— No, i?

— Ma pan pewnie wyszkolenie wojskowe?

— Pan jest kapuś? — rąbnął Lojza, prosto z mostu. Oczy człeczyny rozwarły się lekko ze zdziwienia nad tym dziwnym wyrazem. Ściąga potem dęciak.

— Buchalter Babantek... Chciałem pana mianowicie prosić, gdyby pan był łaskaw... strzelanie jest teoretycznie bardzo proste. Nie chodzi o nic innego, jak aby tylko osiągnąć na jednej linii trzy punkty: punkt oka, punkt muszki i punkt... hm.., celu, Medytowałem już nad tym,„ ale... niestety.., nigdy w życiu:::

Następnego wieczoru przestrzelali razem pięćdziesiąt koron.

*

Widzę go ciągle, pana buchaltera Babanka, smutnego jak puszczyk, który wróży śmierć. Snuje się po Pradze od kiermaszu do kiermaszu, od strzelnicy do strzelnicy. W zimie, w trzaskający mróz, kiedy Praga jest pod śniegiem, wystaje w pasażach w pobliżu sportowych strzelnic, zagląda swymi zimnymi, szarymi oczyma do witryn, wbija je w czarno - białe tarcze. Minęły już czasy, kiedy szukał samotności, kiedy najchętniej strzelał bez widzów, kładąc wstydliwie swój dęciak na pustą ladę. Czeka, czeka. Pasażami przelewają się tłumy niemieckich żołnierzy. W śmierdzących potem i cielęcą świeżą skórą saperkach tupią o posadzkę, rzucają się do każdej witryny, spragnieni pozbyć się swych marek, kupują paskudne gipsowe figurki i kafelki, tak brzydkie, jakby ten, kto je robił umyślnie mścił się na nich. Skoro widzą jakąś sportową strzelnicę, nigdy nie miną jej spokojnie. Chcą pewnie powtórzyć swój rzeźnicki proceder a może pragną paskudnych lalek lub wybrakowanego szkła przeznaczonych jako wygrane. Czterech, pięciu, sześciu, tarabanią się do strzelnicy, fachowo oglądają karabinki, strzelają kolorowymi lotkami do tarcz. Oczy buchaltera Babanka są przyciśnięte do szkła. Od jego oddechu witryna pokrywa się mgłą. Pan Babanek przygotowuje się do swego tylekroć powtarzanego występu. Kiedy żołnierze są u szczytu zabawy i on wchodzi do strzelnicy. Wchodzi z lodowatą pewnością komika, który potrafi od pierwszej sekundy rozbawić publiczność.

Za każdym razem szkopy siadają na lep.

Recholają na samą myśl, że ten pierwszy cywil, ten biurowy kurdupel, mógł wogóle utrzymać karabin. Uważeją go za durnia, który zmylił sobie drzwi. Raz — dwa zapraszają go w swej mamroczącej niemczyźnie do lady, wciskają mu w ręce karabin, mówiąc, że za niego zapłacą. Ale pan Babanek spokojny i zimny jak żelazo na mrozie powtarza swój przeczący gest. On płaci za swoje strzały sam. Ze znawstwem rzeczy bierze karabin i jak maszyna, bez błędu, bez nerwów, bez wahania pakuje wszystkie swoje lotki w czarny środek tarcz. Kładzie pusty karabinek bierze swój dęciak i odchodzi. Jego ostre jak lód oczy bez mrugnięcia ślizgają się po twarzach zaskoczonych Niemców. Przedstawienie jego skończone. O czym myślał w czasie niego buchalter Babanek?

*

W radosne, przedpołudniowe godziny dziewiątego maja, kiedy krasnoarmiejskie czołgi skończyły praski dramat, nie dając mu wyrość na tragedię daremnego oporu, zobaczyłem pana Babanka.

Siedział w małej szkolnej ławce za jedną z owych barykad podmiejskich, gdzie trzy dni bezustannie kosiła śmierć i swymi szarymi, odrobinę zmęczonymi oczami patrzył gdzieś w próżnię. Na ciemnozielonej desce szkolnej ławki leżał niemiecki karabin.

Wtem, jeden z owych świeżych bojowców, którzy dopiero teraz zaczęli szukać broni jako legitymacji odwagi zobaczył komicznego pana Babanka w wygniecionym i powalanym płaszczu i z jego wytartym dęciakiem, istny obraz bezsilnego urzędniczyny, który przez jakieś głupie nieporozumienie dostał się na to miejsce.

Patrzcie no go, starego fatra, temu akurat potrzebna pukawka, zawyrokował nowoupieczony bojowiec, już przez przedmiejski akcent dając poznać swoją przewagę. Chwycił karabin Babanka i niby ze znawstwem zarepetował zamkiem. Wysoki, suchy, tramwajarz, który siedział na kostkach bruku mając ręce splecione na trzymanym karabinie, wstał pomaluśku, jak człowiek, któremu przeszkodzono i z całej siły wyrżnął chłopaka swoją kolbą przez rękę. Karabin upadł na ziemię.

— Zjeżdżaj stąd, gówniarzu — sieknął jednym kątkiem ust — przypadkowo — to nasz najlepszy strzelec!

Brudnym palcem wskazał na czarny dach przewróconego wozu tramwajowego zarytego w kamienną barykadę. Był tam napisany kredą szereg skrótów i kresek, prawie tak, jak to pisują szynkarze na tablicy podanych piw. Pośród nich widać było:

Bab. IIIIIIIIIIIIIII

Ktoś z gapiów krzyknął zawiśtnie : — Piętnaście!

Pan buchalter Babanek z pewnym wysiłkiem schylił się po karabin, podniósł go z ziemi, otarł ręką drzewo i żelazo i znów patrząc tak zimno i nieobecnie rzekł pocichu:

— Piętnastu, cóż to jest piętnastu! Chłopca mi zastrzelili za Heydwicla... I piętnaście tysięcy byłoby mało!

I jego oczy, dwa lodowe sople w starej zbrużdżonej wysiłkiem twarzy, straszne oczy niezaspokojonej nienawiści zawisły na piętnastu brudno - białych kreskach...

**Tłum. Stefan Dębski.**

---

*) J. Drda, jeden z najwybitniejszych współczesnych prozaików czeskich. Nowela ze zbiorku „Niema barykada".

**) Liben, jedno z robotniczych przedmieść Pragi.

***) Żelazo, z którego robi się podkowy, kruche o sinawym kolorze.

# FELIETON PEDAGOGICZNY

Wyreżyserowana wybornie, grana — jak to się mówi koncertowo, oprawiona w malownicze dekoracje, święci triumfy w Łódzkim teatrze Wojska Polskiego „Celestyna".

Jest to, jak wiadomo, przerobiony i przystosowany do wymagań sceny współczesnej późno-średniowieczny utwór hiszpański, którego autorstwo przypisywane jest Ferdynandowi de Rojas. Obejrzawszy dwukrotnie, pilnie i badawczo, „Celestynę", poczyniłem niejakie studnia historyczno-literackie i doszedłem do wniosku, że przeróbka tego utworu odznacza się swobodą i dowolnością: kładąc nacisk na obyczajowość i „amoralność" średniowieczną, przeróbka operuje silnymi efektami, które powodują, że publiczność tłumnie wypełnia widownię, ściągana nie tyle wartością artystyczną sztuki, ile drażniącym zapaszkiem grzechu, występku i zbrodni: Lupanary i mordy na scenie — to przecie gratka niebylejaka, zwłaszcza gdy się perwersyjnie splątają z biciem dzwonów kościelnych i procesją św. Inkwizycji, śpiewającą Miserere.

Z powyższych zapewne względów „Celestyna" jest zabroniona dla młodzieży. Starzy, jeśli nie są jeszcze do cna zepsuci, mogą się psuć; ale zdrowie moralne młodzieży nie powinno doznać uszczerbku: taka „troska obywatelska" ożywia dyrekcję teatru. Czy jest to „troska" uzasadniona? Źle się wyraziłem. Chciałem zapytać, czy tego rodzaju zakazy są celowe, czy odnoszą skutek szczególnie jeśli się taki zakaz zestawi z innego rodzaju zarządzeniem: oto np. książka Diderota „Kubuś fatalista i jego pan" jest zalecona do bibliotek szkolnych, jako, że, obrazując Francję przed Wielką Rewolucją, ukazuje rozkład warstw uprzywilejowanych („pana"), w osobie zaś człowieka z ludu — Kubusia — wysławia naradzającą się Francję Demokratyczną. Słusznie. Ale ten poczciwy i sprytny Kubuś (Diderot był jednak satyrykiem) nie przestaje bawić swego pana opowiastkami, wyraźnie pornograficznymi .„Otóż zachodzi pytanie, czy młodzież szkolna, przeczytawszy w celu demokratycznym „Kubusia fatalistę", i oświecona wszechstronnie tą lekturą, nie może się czuć dotknięta zarządzeniem teatru, zabraniającym jej podziwiać „Celestynę". Wszelkie bowiem zarządzenia, zakazy i nakazy muszą być konsekwentne i zestrojone ze sobą, uzgodnione. W przeciwnym razie tracą swój sens pedagogiczny i wagę.

Dużo wody upłynęło od czasu, gdy przez lat kilka byłem nauczycielem literatury w szkole średniej. Tak się składało, że uczyłem młodzież starszą, 16 — 18 letnią. Bywałem zawsze w wielkim kłopocie, gdy musiałem ogłaszać w klasie, której byłem wychowawcą, że takie to a takie przedstawienie teatralne, a zwłaszcza taki a taki film — na mocy zarządzenia władz szkolnych — jest zakazany dla młodzieży. Czytaliśmy akurat z uczniami, powiedzmy „Chłopów" Reymonta, gdzie napotykamy niejedną scenę drastyczną, albo „Klątwę" Wyspiańskiego, gdzie jest w tragiczny sposób przedstawiona grzeszna miłość księdza do kobiety wiejskiej, albo „Wierną rzekę" czy „Urodę życia" — i czytaliśmy te rzeczy, rozumie się, poważnie, po ludzku, z uczuciem czystości i zrozumienia spraw właściwych i przyrodzonych każdemu człowiekowi. I proszę zważyć w jak fałszywej musiałem się znajdować sytuacji, gdy wśród takiej lektury obowiązany byłem komunikować swym uczniom, że nie wolno im iść do teatru na (przypuśćmy) „Przestępców" Brucknera albo do kina, gdzie wyświetla się „Na Zachodzie bez zmian". Wiedziałem zresztą, że młodzież tam pójdzie — w czapkach cywilnych, z nastawionymi kołnierzami, i prosiłem tylko Boga, żeby dyrektor gimnazjum nie wyznaczył mnie przypadkiem jako dyżurnego w owym kinie, celem zanotowania obecnych tam uczniów. Nie były to dobre metody wychowawcze.

Pamiętam, jak, przebywając potem czas niejaki w Paryżu, nie zauważyłem tam ani jednego kina, gdzieby przy wejściu widniał napis: dla młodzieży niedozwolone. Dziwił mnie taki brak „troskliwości" pedagogicznej. Ale jeszcze bardziej zdziwiło odkrycie, że w Paryżu istniało specjalne towarzystwo „Kinematografii wychowawczej" pod nazwą „Cinédocument", które odbywało stałe posiedzenia i narady, związane z rozpowszechnianiem kina w szkołach całej Francji, rozsyłało do kin szkolnych najróżniejsze filmy, doskonale wyprodukowane, z dziedziny przyrodoznawstwa, geografii, historii, nauki o rzeczach, nauki moralności itp. „Cinedocument" zapraszało do współpracy profesorów uniwersytetów, nauczycieli szkół średnich i niższych, wychowawców i w ogóle ludzi, interesujących się pedagogiką; zamawiało u nich scenariusze, prosiło o nadsyłanie uwag i wskazówek; od czasu zaś do czasu zwoływało w różnych miastach Francji wielkie „congrès du cinéma èducatif", których uczestnicy, dobrani i odpowiedzialni, dzieląc się swym doświadczeniem i spostrzeżeniami, przyczyniali się wielce do rozwoju „kinematografii wychowawczej".

Nie wiem, jak te sprawy stoją dziś we Francji i w ogóle w Europie, wiem tylko, że chłopiec francuski nie potrzebował przed wojną zakradać się jak złodziej do kina publicznego na film wątpliwej jakości, mając w swej szkole czy w sąsiedniej parę razy na tydzień zajmujący, urozmaicony, a do tego bezpłatny seans kinematograficzny. Oto pedagogika. Nie masz bowiem nic bardziej znieprawiającego charakter człowieka ,niż fałsz, kryjomość, oszukaństwo i dwoistość postępowania. Toteż, gdy sobie wyobrażę młodzieńca, który trzyma w ręku „Kubusia fatalistę" i pożera wzrokiem przed teatrem, zamkniętym dla niego, fotosy z „Celestyny", myślę, że coś tu nie jest w porządku. A możeby wybudować na przeciwko wspaniały, oszałamiający pięknem, teatr dla młodzieży?

**Jerzy Wyszomirski**

# Film TYGODNIA

## POGRZEB GENERAŁA BRONI LUCJANA ŻELIGOWSKIEGO

### W WARSZAWIE



*Foto Film Polski*

Trumnę ze zwłokami gen. Żeligowskiego niosą towarzysze broni. Za trumną postępują: najbliższa rodzina, przedstawiciele Rządu, Wojska, partii politycznych i rzecze publiczności.



*Foto Film Polski*

Trumna okryta sztandarem narodowym na barkach oficerów.



*Foto Film Polski*

Młodzież jugosłowiańska usuwa gruzy w Warszawie



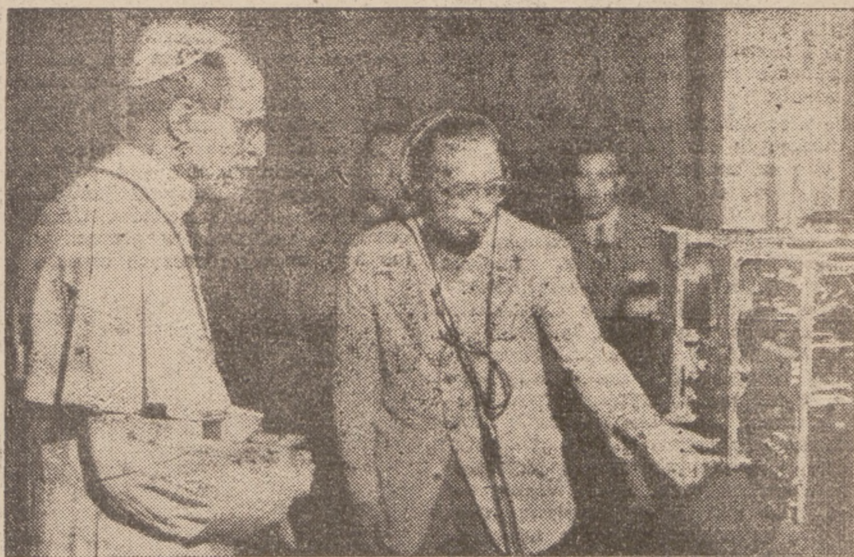
*Foto Film Polski*

Wręczanie kluczy nowym lokatorom w Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej



*Foto Film Polski*

Dzieci beztrosko spędzają wakacje na koloniach letnich pod opieką wychowawców.



Papież Pius XII ogląda pierwsze urządzenia telewizyjne w Watykanie zainstalowane przez amerykańskiego inżyniera Józefa Jenkinsa.

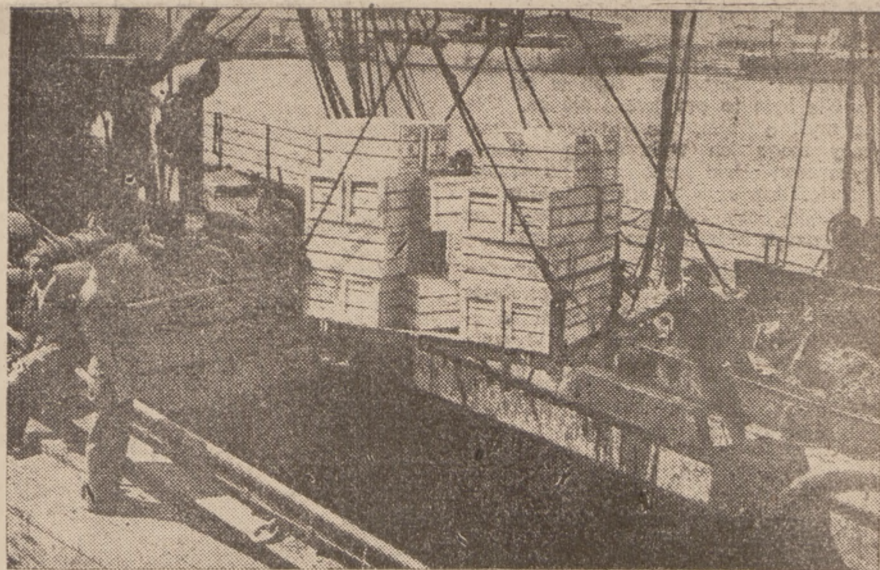
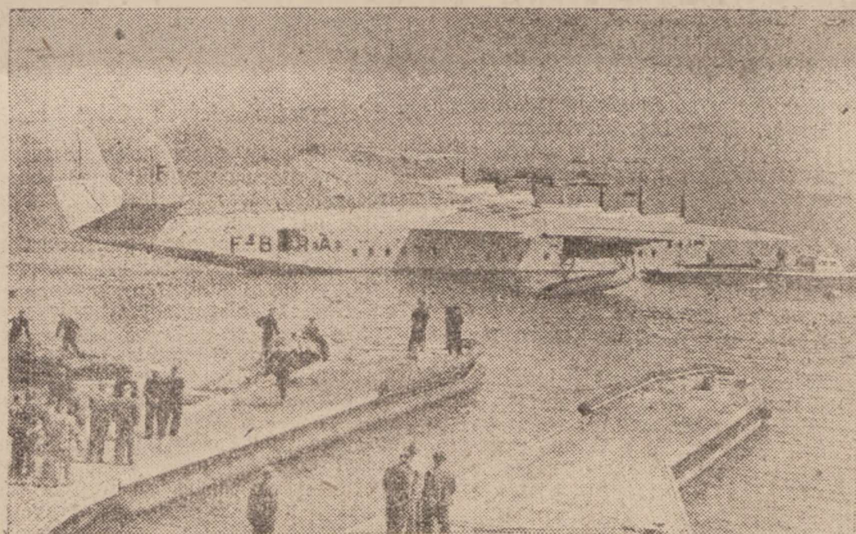


*Foto Film Polski*

Eksportujemy jaja. Zdobywamy rynki zagraniczne




Największy w Europie francuski hydroplan waży 72 tony. 6-motorowa maszyna ma rozpiętość skrzydeł 187 stóp

# WIELKI LOT ORŁA

**Wspomnienia kapitana Marynarki Wojennej**
**JÓZEFA BARTOSIKA**

## Dar społeczeństwa

Życie ORŁA układało się od samego początku w sposób szczególny. Już na pierwszy rzut oka o atmosferze niepowszedniości jaka z każdym dniem narastała i krzepła dokoła niego świadczyła nazwa piękna — przypominająca królewskie godło narodowe.

Z dumą myśleliśmy o nim, że był największym, najnowocześniejszym i najsilniej uzbrojonym okrętem podwodnym nie tylko na Bałtyku, ale bodaj w całym świecie. Wreszcie — i to było najważniejsze, — spośród wszystkich jednostek naszej floty ORZEŁ był darem społeczeństwa polskiego. Umieszczony nad kompasem ryngraf był wymowną pamiątką składek długo i mozolnie na ten cel ciułanych przez nasze powszechne, średnie i wyższe szkoły.

Nic więc dziwnego, że sposobiąc się do nadchodzących zmagań zbrojnych z nieprzyjacielem załoga ORŁA rozumiała, że dla niej będą one wyzwaniem na niebywały bój.

W początkach 1939 roku Niemcy narzucili Polsce wojnę nerwów. Rozsiane wzdłuż Wielkiego Morza punkty obserwacyjne — niejednokrotnie alarmowały Dowództwo Floty w Gdyni, że gdzieś pod Helem widać ślady peryskopu. Nocą hydrofony naszych stacji nasłuchiwały szumów, w których bił wyraźnie rytm śrub. Każdy dzień, każda niemal wachta przynosiła nowe sygnały o tym, że „U-Booty" myszkują po naszych wodach terytorialnych. Wiedzieliśmy dobrze, że Niemcy coś knują, tylko nikt nie był w stanie orzec, czy owe tajemnicze operacje miały na celu wywiadowcze jedynie zadania, czy też może nasi sąsiedzi łamiąc pokój i międzynarodowe umowy — zawczasu minowali szlaki prowadzące do naszych portów.

Przez cały ten okres ORZEŁ, podobnie jak wszystkie inne okręty, trzymany był w pogotowiu, odbywając patrol po patrolu, śledząc przygotowania niemieckiej floty i obserwując ruch w jej bazach. Nie była to przyjemna służba. Na samą myśl o tym, że któregoś dnia Niemcy mogą ich wykryć, niejednemu marynarzowi ciarki przebiegały po grzbiecie. Świat dowiedziałby się po prostu, że pod Kilonią, czy Piławą znaleziono na skałach okręt, który... sam się rozbił".

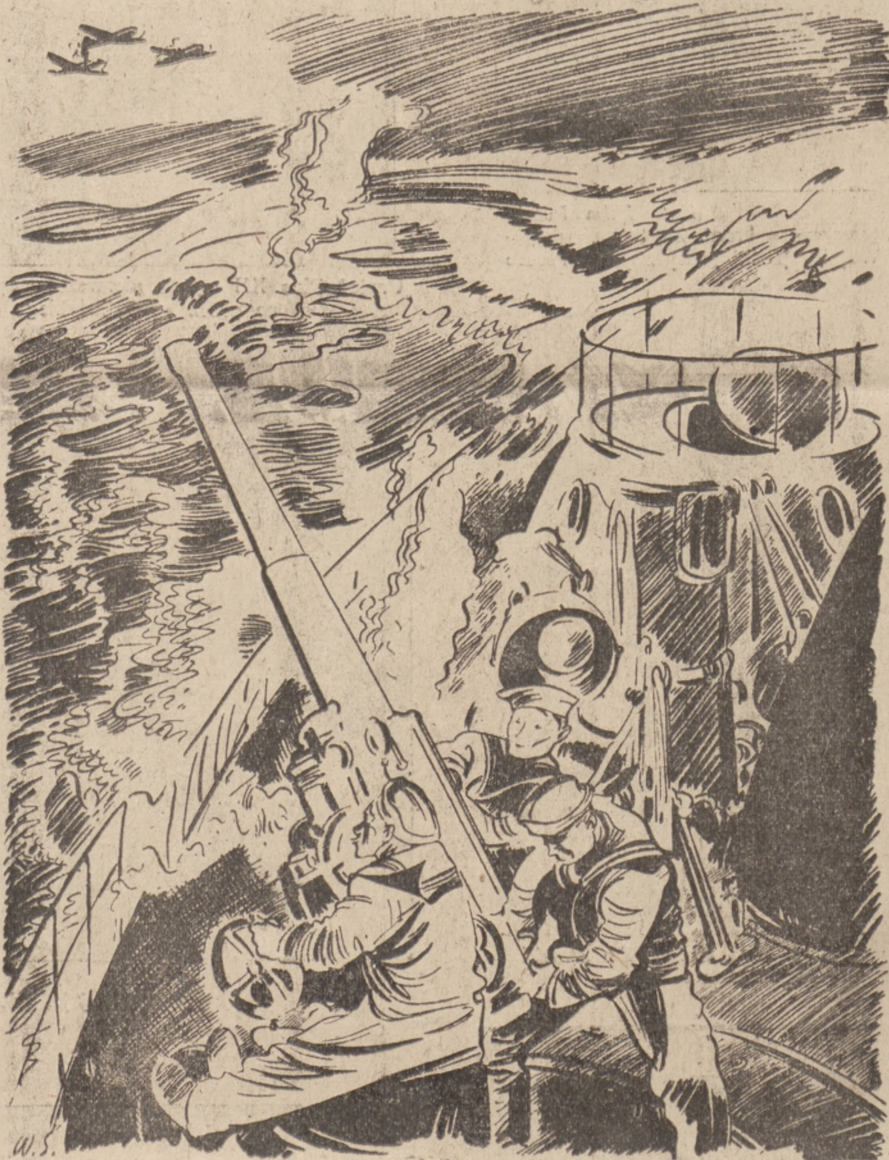
„Oczywisty błąd w nawigacji" — stwierdziliby bez skrupułów mistrzowie propagandy w Berlinie. Tymczasem na okręcie ciągłe napięcie nerwów i wyczerpanie dawało się coraz dotkliwiej we znaki, i zanim minęło lato szef torpedystów, atletycznie zbudowany bosman, liczący niecałą czterdziestkę, osiwiał jak gołąb.

## Jestem atakowany

Pamiętny dzień pierwszego września zastał ORŁA na odpoczynku w porcie w Gdyni. Księżyc opadał już ku zachodowi i nad Zatoką unosiły się opary mgły, gdy z redy rozległy się podwójne uderzenia dzwonów, — okręty drzemiące na kotwicy na zewnątrz falochronu wybijały czwartą i ostatnią godzinę nocnej wachty. W górze, nad Oksywiem granitowa postać Chrystusa Króla rysowała się już wyraźnie na tle przedświtu, gdy nagle od morza rozległo się dudnienie motorów. Eskadra bombowców przeleciała nisko nad portem ukazując u spodu płatów wielkie, czarne krzyże. Z dział przeciwlotniczych ORŁA i wszystkich okrętów w porcie i na redzie zerwały się ku górze strumienie pocisków.

Echo wystrzałów szarpało jeszcze mglistym powietrzem, gdy pod pokładem, w radiostacji poderwał operatora dźwięk alarmu. Piskliwy brzęczek powtarzał krótkimi, urywanymi znakami depeszę dowódcy Westerplatte: „Jestem atakowany... S. O. S...!"

Na czworokątnej, pękatymi kolumnami podpartej wieży portowej błysnął reflektor Dowódca Floty nadawał umówione od dawna hasło „Smok". Po rozerwaniu pieczęci z głębi kopert wyjrzały pamiętne słowa: „Wojna z Niemcami rozpoczęta... Wykonać plan A... Niech Wam Bóg szczęści...".



Rys. Wacław Siemiątkowski

Z dział przeciwlotniczych „Orła" zerwały się ku górze strumienie pocisków.

Na pomoście rozległ się pojedynczy gwizd, — dla marynarzy stojących w pogotowiu był to sygnał, aby zdjęli cumy z pelerów.

Powierzchnia portu zamąciła się wielkimi, kręgami, — powoli okręt ruszył z miejsca. Gdy minął falochron w powietrzu krążyły nad nim stada spłoszonych mew, krzycząc i biadając. Zanurzając się najął kurs na wschód.

W pierwszych dniach wojny Sektor operacyjny ORŁA obejmował wewnętrzną część Zatoki. Spośród wszystkich placówek, na które wyznaczono nasze okręty podwodne, była to bez wątpienia najtrudniejsza i najbardziej niebezpieczna pozycja, stanowiąca ostatnią linię obronną Gdyni od strony morza. Kiedy ORZEŁ przybył na miejsce — wystający na kilkanaście centrymetrów nad powierzchnią morza peryskop ukazywał już dziesiątki nieprzyjacielskich samolotów. Unosiły się one nisko nad wodą w grupach po dwa lub trzy, szukając naszych okrętów podwodnych. Zadaniu nieprzyjaciela ułatwiała w dużym stopniu płycizna Zatoki, oraz przezroczystość wody bałtyckiej, która zwłaszcza na jesieni przepuszcza promienie słoneczne daleko pod powierzchnię. W tych warunkach ORZEŁ był każdego dnia wykrywany i atakowany przez lotnictwo. Noce również nie przynosiły pożądanej ulgi, ze względu na uganiające po Zatoce ścigacze niemieckie, raz po razie zmuszały okręt do zanurzania się, robiąc z ładowania akumulatorów problem nielada.

Czwartego dnia rano Dowódca Floty wyznaczył ORŁOWI nowy sektor, położony bardziej na północ, u wejścia do Gdańskiej Zatoki. W drodze na pozycję ORZEŁ został ponownie wykryty przez patrolujące „Heinkle" i poddany wyjątkowo gwałtownym atakom, które trwały przez kilka godzin.

W pewnej chwili operator podsłuchu zauważył za rufą szum śrub. Dźwięk rósł na sile i utrzymywał ten sam namiar — nie ulegało wątpliwości, że okręt nieprzyjacielski kierując się własnymi hydrofonami szedł wprost na nich.

Na ORLE zatrzymano natychmiast maszyny, pompy i wyłączono — żyrokompas. Padł rozkaz nie ruszania się z miejsca. W ciągu kilku sekund we wnętrzu zawieszonego w otchłani kadłuba zamarł ślad życia.

Jedna z bomb głębinowych, detonując wprost nad ORŁEM, rzuciła nim gwałtownie w dół, aż dziób okrętu uderzył o dno. Zrobiło się nagle ciemno, wygasły wszystkie światła, tylko z przedziału motorów dochodził szum wody wlewającej się do wnętrza przez tłumik jednego z Diesell. Położenie okrętu było krytyczne.

W kilkanaście minut po pierwszych bombach przyszły drugie, a potem trzecie... Ilekroć Niemcy zawracali do ataku, w kadłubie tonącego okrętu uderzenia śrub rozbrzmiewały tak donośnie, że nie trzeba było już przykładać ucha do burty, aby je usłyszeć. Pomimo zupełnej martwoty ORŁA coś widocznie naprowadziło Niemców na polski okręt, bo ataki powtarzały się jeden po drugim.

Nieprzyjaciel zaprzestał tropienia dopiero o zmroku. Gdy ostatnie śruby umilkły w oddali ORZEŁ wynurzył się. Było już zupełnie ciemno, w poświacie księżyca połyskiwała na powierzchni morza rozlana szeroko tłusta plama. Uszkodzone od wybuchów zbiorniki paliwa ciekły widocznie, i wydobywająca się z nich ropa zdradzała Niemcom ukryty w głębinie cel. O północy radiostacja okrętowa podsłuchała komunikat z Berlina o tym, jak torpedowce niemieckie, przy współudziale lotnictwa zatopiły pod Gdynią jeszcze jeden polski okręt podwodny. Przez kilka następnych dni ORZEŁ krążył pomiędzy Rozewiem a Gotlandem polując na nieprzyjacielskie okręty i konwoje, podczas gdy pierwszy oficer mechanik dokonywał cudów improwizacji, aby naprawić uszkodzenia. Jedno z nich przekroczyło jednak możliwości reperacyjne okrętu, — był nim cylinder sprężarki, który pękł wzdłuż całej tulei. Pech chciał, że w tym samym okresie sanitariusz okrętowy stwierdził objawy ciężkiej choroby u jednego z oficerów. Zachodziła obawa, że jest to tyfus.

W odpowiedzi na meldunek radiowy Dowódca Floty przysłał szyfrową depeszę, nakazującą wysadzenie chorego w neutralnym porcie oraz jednocześnie usunięcie tam awarii sprężarki w najkrótszym możliwie czasie. O zawinięciu do którego z polskich portów nie mogło być mowy, Gdynia była już bowiem w rękach nieprzyjaciela, a Oksywia kończyła pierwszy tydzień oblężenia.

## Internowani

W nocy 14 września reflektor sygnałowy ORŁA długo wzywał stację pilotów w Tallinie. Gdy wreszcie ląd odezwał się, nadano depeszę: „Mam ciężko chorego na pokładzie i awarię w maszynach. Czy mogę wejść do portu?". Po kilkunastu minutach ponownie mignęło światło: — estońskie władze portowe zapewniły, że dołożą wszelkich starań, aby pomóc polskiemu okrętowi...

Wejście do portu odbyło się następnego dnia rano. Gdy ORZEŁ mijał falochron dowódca zwrócił uwagę na wielki niemiecki transportowiec przymocowany do molo tuż przy latarni. Na rufie widniała gotykiem wypisana nazwa „S/S THALATTA", a pod nią port macierzysty „HAMBURG". Niemcy również dostrzegli wchodzących, gdyż natychmiast zwinęli flagę. Na kominie pojawiły się sterlingi i zanim ukończył cumowanie wielka, czarna swastyka, widniejąca na otoku komina, znikła pod warstwą świeżej zielonej farby.

Gdy podawano rzutki, na molo czekał już na ORŁA samochód z czerwonym krzyżem oraz grupa cywilnych inżynierów. Po krótkiej inspekcji sprężarki przedstawiciel stoczni oświadczył, że przed wieczorem okręt będzie gotów do wyjścia.

Nagle sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Sanitarka z chorym odjeżdżała właśnie do szpitala, gdy na pokładzie zjawili się dwaj starsi oficerowie estońcy i oświadczyli, że w związku z zapowiedzanym wyjściem THALATTY, ORZEŁ nie będzie mógł opuścić portu wcześniej jak w 48 godzin po odejściu Niemców. — „Jest nam bardzo przykro" — oświadczyli na odchodnym Estończycy — „lecz takie są wymagania prawa międzynarodowego...".

Następnego popołudnia władze portowe zmieniły miejsce postoju ORŁA, przenosząc go do wewnętrznego basenu i cumując pomiędzy estońskimi okrętami wojennymi. Znajdowały się one tak blisko, że jedną z rufowych cum ORŁA zamocowano do estońskiego torpedowca.

Ta nieoczekiwana decyzja gospodarzy upewniła kapitana Grudzińskiego — dowódcę ORŁA — w podejrzeniu, że Estończycy, z którymi łączyły nas nieoficjalne zobowiązania wzajemnej pomocy na wypadek wojny, działali pod naciskiem niemieckiego posła.

Przewidując możliwość dalszych intryg przystąpiono natychmiast do spalenia szyfrów i wszystkich tajnych dokumentów. Na potwierdzenie słuszności tego kroku nie trzeba było długo czekać. W niecałą godzinę po opróżnieniu żelaznej kasety przyjechał na okręt admirał estoński i oznajmił, że okręt polski wraz z załogą zostanie internowany. Jednocześnie na pomoście ORŁA oraz na molo przy trapie zaciągnięto zbrojne posterunki. Dwie duże lory przywiozły oddział marynarzy, którzy przystąpili do rozbrajania okrętu. Zanim nadszedł wieczór komory amunicyjne ORŁA zaświeciły pustkami, z dział wymontowano zamki, zabrano wszystkie karabiny i pistolety, wyładowano kilka torped, skonfiskowano mapy i wszystkie pomoce nawigacyjne.

(Ciąg dalszy obok)

*(Ciąg dalszy ze str. 6-ej)*

Wieczorem tego dnia załoga zasiadła do smutnej kolacji. Dostrojone do częstotliwości Warszawy radio przyniosło wiadomość o wkroczeniu armii rosyjskiej na ziemie polskie. Zawisło nad osamotnionymi marynarzami ORŁA widmo zbliżającej się klęski.

Następnego dnia rano Estończycy podjęli na nowo wyładowywanie torped. W trakcie tej operacji odwiedził okręt — brytyjski attaché wojskowy w Tallinie. Obecność narzuconego przewodnika wyższego oficera estońskiego krępowała go w widoczny sposób. Po ich odejściu znaleziono w mesie oficerskiej na stole dwie karty wizytowe z nazwiskiem i stopniem attaché. Sprzątający marynarz odwrócił przypadkowo jeden z biletów. Na drugiej stronie, pisane ołówkiem w pośpiechu widniały słowa: „Good Luck" i „God Bless You".

## Hasło do czynu

Być może, że właśnie nieoczekiwany dowód życzliwości trafił w tragiczny nastrój załogi, jak hasło do czynu... Patrząc na estońskie ciężarówki, jak jedną po drugiej wywoziły z okrętu na ląd torpedy, te torpedy, którymi mieli pomścić krzywdy Ojczyzny — marynarze nasi pojęli, że nadszedł czas, aby wszystko rzucić na szalę.

W zupełnej tajemnicy, tak, aby nie budzić podejrzeń u pilnujących ich wartowników, opracowano plan i podzielono role. Przechadzając się po pokładzie dowódca zwrócił uwagę Estończykom, że dźwig, którym wyładowywali torpedy, groził awarią. Nieznający się na mechanizmie odnośnika oficer estoński z podziwem patrzył na kapitana Grudzińskiego jak rozbierał przekładnię. Gdy w kilku minut później stalowa lina podnosząca torpedy jęknęła nagle, pękając jak struna, nikt z patrzących nie skojarzył tego z poprzednimi manipulacjami dowódcy, który wtedy był już zresztą zajęty czym innym.

Na skutek uszkodzenia dźwigu odłożono wyładowanie pozostałych 6 torped do następnego dnia. Wieczorem załoga poszła do swych hamaków i koji jak zwykle i gdy okręty dokoła wybijały 10-tą godzinę, pod pokładem ORŁA rozlegało się zewsząd donośne chrapanie. Obaj wartownicy estońscy byli bardziej niż zadowoleni ze swych więźniów, którzy zachowywali się jak baranki. Około północy estoński oficer inspekcyjny dokonał ronty posterunków. Po jego odejściu wartownik centrali z łedwością zdołał się uporać z usypiającym rytmem tykania wielkiego zegara nawigacyjnego. Nagle z tyłu za nim dał się słyszeć szmer. Zanim Estończyk zdołał się odwrócić silna pętla zacisnęła się dokoła jego ramion, — chciał krzyknąć, lecz ktoś kneblował mu usta, ktoś trzeci wyrywał z rąk karabin. Gdy spętanego opuszczano przez luk pod pokład, towarzysz jego z drugiego końca trapu przeżywał podobne wrażenia.

## Niezapomniana pobudka

Zlikwidowanie wartowników odbyło się bez jednego trzasku. W jednej chwili cała załoga poderwała się na nogi, chyba żadna z pobudek nie poszła tak sprawnie jak temta niezapomniana pobudka w Talinie. Każdy biegł na umówione miejsce nie bacząc na przeszkody i nie pytając o instrukcję. Dla tych 50 ludzi „plan" był w tej chwili ważniejszy niż cały świat. Po mrocznym trapie przemknął się chyłkiem cień. W ręku błyszczał jakiś metalowy przedmiot. Był to szef elektrotechników. Biegnąc wzdłuż nadbrzeża zatrzymał się w miejscu, gdzie gruby jak ręka kabel wychodził z żelaznego na czerwono malowanego pudła. Obejrzał się w jedną stronę, potem podniósł ku górze siekierę i ciął straszliwie. Oślepiająca zielona błyskawica rozdarła niebo. Gdy zgasła, w całym porcie zapanowała ciemność bardziej jeszcze czarna od poprzedniej, — od jednego cięcia wygasły wszystkie światła, tylko po drugiej stronie basenu jarzyły się jedna nad drugą latarnie odległego nabrzeżnika, czerwone jak krople krwi.

Na ORLE rozległo się gwałtowne dzwonienie siekier, wśród snopów iskier, tryskających z pokera, pękła najpierw stalówka wiążąca rufę z torpedowcem, a po niej reszta cum. Winda elektryczna na dziobie zawyła nabierając obrotów. W wieży zadźwięczał raz, potem drugi — telegraf maszynowy. W gorączkowy nastrój padły spokojne słowa dowódcy:

## „Oba motory — cały naprzód"

Po kadłubie okrętu rozeszło się syczenie sprężonego powietrza, lecz niemal natychmiast zagłuszył je ryk zeskakujących Diesseli. Przez wieżę powiał lukami w dół ku motorom silny prąd powietrza. Powoli okręt ruszył z miejsca przemykając się tuż, pod dziobem torpedowca. Wysoka, rozłożysta burta estońskiego okrętu wisiała w górze, nad głowami marynarzy, jak drapieżny, sępi cień. Na szczęście niegościnny pokład nie zdradził nawet śladu życia.

Aksamitna ciemność, jaka spowijała port, była tym pełniejsza, że niebo zaciągnięte niskimi chmurami nie ukazywało ani jednej gwiazdy. Przed kapitanem Grudzińskim otwierał się teraz drugi i najtrudniejszy etap ucieczki: wyjście z zaciemnionego portu nie tylko bez pilota, ale i bez map. W umyśle dowódcy pulsowała jak ostrzeżenie pamięć, że gdzieś po drodze w awanporcie grożą mu mielizny.

Gdy okręt wykręcił się dziobem ku morzu i cień nadbrzeża zmalał, w maszynach zmniejszono obroty, przedstawiając Diessele na: „Wolną naprzód", a później na: „Obie Stop". Pomost zaległa cisza. W pewnej chwili wpatrzony w ciemną przestrzeń przed dziobem sygnalista krzyknął na całe gardło: „Fałochron na kursie!" Zanim skończył, ORŁEM szarpnął gwałtowny wstrząs. Okręt jeknął, zatoczył się, a jednocześnie dziób wspiął się na jakieś pół metra nad wodą. Uderzywszy dziobem o skałę, ORZEŁ stanął unieruchomiony w samym wyjściu z portu.

Od strony basenów odezwały się syreny. Wyrwane ze snu okręty estońskie ryczały ochrypłym głosem jeden po drugim.

Na lądzie w różnych punktach zapaliły się reflektory, kilka jasnych, drżących smug zsunęło się na powierzchnię awanportu. Szamocący się na mieliźnie ORZEŁ został z łatwością wykryty, ledwie pierwsza wiązka reflektorów skrzyżowała się na jego burcie, gdy po blaszanym pokładzie zadzwoniły kule karabinów maszynowych. W krótkim czasie osłona pomostu została przebita w kilkunastu miejscach.



*Rys. Wacław Siemiątkowski*

**Towarzysz jego z drugiego trapu przeżywał podobne wrażenia.**

Nagle, w beznadziejnym położeniu, los okrętu wydawał się już przesądzony, pomoc przyszła z najzupełniej nieoczekiwanego kierunku. Od lądu zerwała się świeża bryza. Ostry powiew niósł tłoczące się nad rufą kłęby spalin i poniósł je wzdłuż okrętu, zasłaniając nimi ORŁA jak gęstą, białą zasłoną.

Pompy odwadniające huczały teraz od maksymalnych obrotów, odciągając tonę za toną z dziobowych zbiorników i odciążając w ten sposób dziób.

## „Zalać rufowe balasty!"

— Krzyczał dowódca. Oba motory pracowały teraz „Całą wstecz" a silne wibracje trzęsły okrętem, aż nity drgały w spojeniach. Dudnienie kul po stalowych płytkach podwoiło się, gdy wtem — ORZEŁ zacinał się. W dziobowych przedziałach dał się słyszeć zgrzyt — za burtą — błyszcząca w świetle smuga zaczęła się przesuwać powoli naprzód wzdłuż kadłuba. Centymetr po centymetrze, wahając się i utykając z burty na burtę, okręt ześlizgnął się z kamieni.

W kanale wejściowym trzeba było zrobić zwrot. Wiatr wiał teraz w burtę, unosząc dym na przeciwną stronę. Odsłoniętego ORŁA prowadziły snopy kilkudziesięciu reflektorów. Z boku, nad fortami zerwał się ostry błysk. W kilka sekund później targnęła powietrzem ogromna eksplozja; — 14-calowy pocisk artyleryjski, wybuchając w odległości 300 metrów od burty, wyrzucił ku niebu wysoką kolumnę wody. Na fioletową, drżącą smugą reflektora padł od niej ponury cień. Łoskot detonacji zagłuszył na chwilę warczenie Diesseli.

Kanał był niecałą milę długi i zbyt płytki na to, aby ORZEŁ mógł się zanurzyć. Pociski artylerii nadbrzeżnej upadały po obu burtach, zacieśniając stopniowo wiązkę wybuchów. Cel był „nakryty"... Tymczasem dowódca ORŁA ze stoperem w dłoni liczył czas każdej salwy. Do końca kanału pozostały jeszcze kable... jeden kabel... Wreszcie przycisnął kontakt. Po wszystkich pomieszczeniach rozległo się przeciągłe wycie buczka. Wybuchy w cylindrze Diesseli stały się coraz rzadsze i coraz mniej hałaśliwe. Osłabł prąd powietrza w wieży. Nad okrętem zawisła cisza. W przedziale motorów włączono silniki elektryczne, podczas gdy obsada pomostu ześlizgnęła się szybko pod pokład, zamykając z trzaskiem za sobą luk.

W drżącej smudze świateł srebrna sylwetka polskiego okrętu malała coraz bardziej — i coraz szybciej zapadała się pod wodę. Przez krótką chwilę krawędź wieży świeciła jeszcze jak drobny punkt; — wreszcie i to znikło.

Niegościnna Ryska Zatoka roztaczała teraz przed ORŁEM swe ciasne odmęty, pełne płycizn i wybojów. Na pozbawionym map okręcie uchwycono się, jak ostatniej deski zbawienia, jedynej pomocy nawigacyjnej jaka im pozostała: — Sondy dźwiękowej. Od pracy i wskazań tego małego, delikatnego aparatu zależało odtąd życie okrętu i całej załogi. Pogoń estońska trwała przez całą dobę. Na poszukiwanie ORŁA ruszyło lotnictwo i kilka okrętów wojennych. Przyczajony nad dnem ORZEŁ raz po raz trząsł się od wybuchów ciężkich bomb. Każdy nowy meldunek podsłuchu o zbliżających się śrubach na nowo paraliżował okręt. Zatrzymywano natychmiast maszyny, we wnętrzu kadłuba zamierał wszelki ruch, ORZEŁ opadał na dno.

## W Zatoce Fińskiej

Posuwając się niewielkimi krokami ścigany okręt dotarł następnego dnia pod wieczór do wejścia do Fińskiej Zatoki. W chwili gdy krawędź wieży przebijała powierzchnię morza z tyłu za rufą zauważono idące blisko siebie sylwetki trzech okrętów wojennych. ORZEŁ natychmiast zanurzył się. Raz jeszcze stanęły maszyny. Za burtą szum śrub zbliżał się rósł na sile, wreszcie nadszedł wprost nad głowy. Znieruchomieli marynarze ORŁA wstrzymali oddech. Można było policzyć uderzenia śrub o wodę... Powoli człapanie przesunęło się na przeciwną burtę...

W miarę jak praca śrub przycichała w oddali w umysłach marynarzy zamkniętych we wnętrzu stalowego kadłuba wzbierała na sile jedna, potężna, nad wszystko silniejsza świadomość... Byli znowu wolni... Zrzuciwszy pęta sideł ORZEŁ rozwijał okaleczone skrzydła do nowego lotu...

## Pogoń za „Orłem"

Odtwarzany z komunikatów radiowych urastał przed oczyma załogi, odosobnionej w głębinach Bałtyku ponury obraz polskiej rzeczywistości. Oblężona od kilku dni Warszawa, bombardowana z lądu i z powietrza stała w ogniu; — daleko na północy bronił się jeszcze Hel, lecz było to już bohaterstwo bez nadziei. Tymczasem Berlin, dowodząc z triumfem powodzenia „Blitzkriegu", oświadczył, że wojna z Polską została zakończona...

Pewnego wieczora radio niemieckie podało reportaż z ucieczki ORŁA. Polacy podstępem wymordowali opiekujących się nimi Estończyków i łamiąc uroczyście dane słowo honoru, uciekli z portu. Za zmykającymi rozbójnikami bezprawnie grasującymi po Bałtyku flota niemiecka wszczęła energiczną pogoń. W razie ujęcia czeka ich powieszenie, jak pospolitych bandytów... Sprawiedliwości musi się stać zadość. Z uczuciem bezbrzeżnej pogardy i oburzenia słuchali marynarze nasi tego komunikatu. Była chwila, że dowódca wahał się, czy nie wyjść na powierzchnię, nie puścić w ruch radia i nie krzyknąć na całą Europę, że Niemcy łżą jak psy i że wojna o Polskę nie skończy się tak łatwo. Po namyśle kapitan Grudziński zmienił jednak plan. Postanowił natychmiast dać światu namacalny dowód niemieckiej przewrotności.

— „Nie będziemy wysadzać naszych pasażerów w Estonii — oświadczył załodze.

W nocy 21 września ORZEŁ wynurzył się u wybrzeża Gotlandu. Wprost na kursie, nad wstęgą lądu wznosił się cień latarni Osta Garten. Na szczycie wieży, odgrodzony balustradą obracał się kryształ miliona świec. W ciemnej przestrzeni nocy ciągnęły się za nim trzy długie wąskie ramiona, widoczne na dziesiątki mil. Gdy która ze smug dosięgła ORŁA, po moście przebiegał błysk, ślizgając się po twarzach bladym żółtym muśnięciem. W cichy opuszczono na wodę składaną łódź, załadowano do niej skrzynię sucharów, butelkę rumu i dwie pary wioseł. Obaj Estończycy siedzieli już w łodce na ławie, gdy kapitan Grudziński podał im przez burtę list zaadresowany do dowódcy floty szwedzkiej oraz kopertę z pieniędzmi. —

## „Pamiętajcie, że z zaświata nie wypada wracać gorszą klasą niż pierwszą".

— Powiedział im na odjezdnym. Powierzchnia morza była gładka jak stół. Przez półtorej godziny ORZEŁ czekał w wynurzeniu, aby się upewnić, że Estończycy bezpiecznie wylądowali. Potem dowódca położył ster na burtę i skierował okręt na południe, ku nieprzyjacielskim brzegom. Pierwszym problemem, jaki ORZEŁ musiał rozstrzygnąć, była nawigacja. Przeszukując skrzynie, półki centrali, oficer sygnałowy natrafił za jedną z szuflad stary, niemiecki „Spis latarni". Było to wielkie odkrycie. Znaleziona książka zawierała bowiem nie tylko charakterystykę i sektory świecenia każdej latarni

*(Dokończenie na str. 11-ej)*

# ZAŁÓŻMY SIĘ

Mateusz zawsze marzył, żeby pójść do fabryki. Bo cóż z tego, że ziemia doskonała, kiedy ma się jej tylko dwie morgi? Nawet urobić się porządnie nie było czym. Żona w jednej chustczynie, dzieci mizerne, bieda w chacie — a rzucić to wszystko i do miasta, do fabryki iść strach. I tak wśród złocistych pól, ropiała ta rodzina jak nieleczony czyrak na ciele hożej dziewczyny. I oto stała się rzecz nie do wiary, fabryka przyszła do Mateusza!

Któregoś dnia wpadł do chaty cały podniecony.

— Magda, jenżeniery chodzą za górką, cosik przymierzają, kalkulują — mówią, że będą wielką fabrykę stawiać...

— Iiii, kościół w Chotomowie zaczęty jeszcze przed wojną, a wieża dotąd nie wykończona, bo nie ma pieniędzy. Komin fabryczny przecie wyższy od dzwonnicy — nim ta na niego uzbiera ją, nim go do połowy wybudują, to już nas nie będzie na tym świecie.

— Hmmmm, niby racja.

Śladu racji nie było. Na klepisko posypane ziarnem ptaki się tak szybko nie zlatują, jak teraz ludzie ściągnęli na pola za pagórkiem. Zawrzała robota; rowy pod fundamenta kopią, tam cegłę zwożą, ówdzie pale wbijają, tędy bocznicę kolejową prowadzą. A wśród wszystkich uwija się Mateusz. Łopatą dziabnąć, zagrzęzły wóz podeprzeć, słupy wbijać — wszędzie Mateusz pierwszy. Spocony, rozlatany, niezmordowany.

Jeszcze krzaki rosły pośrodku, gdy zaczęto, z obu końców naraz, wznosić ścianę stumetrowej hali. Robotą kierował młody, zawsze rozczochrany i wesoły inżynierek.

Intresujący się wszystkim Mateusz popatrzał raz i drugi, z jednego końca i drugiego, po czym, pobiegł do rozczochranego młodzieńca.

— Panie jenżynierze, ściany się nie zejdą! Dobrze widziałem, trzebaby tę ciut — ciut w prawo wziąć. Niech pan murarzom każe zaraz kapeczkę k'sobie nawrócić, bo inaczej będzie pan jenżynier miał przykrości.

— A czy pan ma krowę, panie Mateuszu?

— No jakże? Przeciem gospodarz!

— To załóżmy się: ja stawiam mój motocykl przeciw pańskiej krowie, że bez żadnych zmian ściany zejdą się cegła w cegłę, dokładnie, jak dwaj pijacy w karczmie.

— Motocykl pana jenżyniera mi niepotrzebny ,ale możemy.

Dobrze obliczył rozczochraniec, ściany zbiegły się tak, że i na paznokieć nie chybiły. Krowa naturalnie została przy Mateuszu, ale odtąd zdobyła sławę. Coraz to któryś inżynier proponował:

— Założy się pan ze mną, panie Mateuszu o swą krowę, że tym oto jednym małym palcem podniosę tę maszynę?

A maszyna wielka jak smok, dwudziestu ludzi radyby jej nie dało.

— Niech stracę stworzenie! Zakładam się, to niemożliwe.

Psssstryk! Inżynierek nacisnął palcem guzik. zawarczał dźwig i maszyna frunęła w górę niczym samolot. Wszyscy się śmieją. a Mateusz najgłośniej.

Inny inżynier odciąga go kiedyś na bok i mówi:

— Widzi pan ten pusty plac, panie Mateuszu?

— Ano widzę.

— Jutro zaczynamy tu komin fabryczny budować. Patrz pan, w palcach — nic, w rękawach — nic, nakoło nic, pucu nie ma. Jak pan myśli, kiedy komin będzie gotów?

Chciał Mateusz krzyknąć: „Za piętnaście lat!" lecz się pomiarkował, że tu ciągle cuda się dzieją, więc odparł:

— Za pół roku może ta i będzie.

— A ja twierdzę, że za osiem dni chmury już będą o szczyt komina zawadzały.

Rozgniewało Mateusza, że takiego wariata zeń inżynier struga, więc burknął:

— Wiem żeśta chybcy w robocie, ale i to wiem, że wieży kościoła w Chotomowie od dwudziestu pięciu lat skończyć nie mogą. W osiem dni to i diabeł nie poradzi.

— No to stoi zakład. Jak zwykle — o krowę?

— Dobra.

Tym razem Mateusz był już pewien wygranej. Cóż kiedy te młodziaki — inżyniery okazały się obrotniejsze i i od księdza i od diabla. Choć deszcz lał przez dwie doby — na ósmy dzień komin był gotów. Chwiał się niby trochę od wiatru, lecz stał wysoki i gładki, jak świeca na ołtarzu. Majstry zaś tak się rozpędziły, że do końca miesiąca dodali mu jeszcze trójkę braci - kominów.

Śnieg, deszcz czy skwar — fabryka pęczniała.

Pięły się mury coraz wyżej, kominy tryskały w niebo jak fontanny, piasek poryły wybetonowane kawały, jak w ogrodzie przez noc wyrasta kwiat, tak tu co dnia przybywała nowa budowa. I wszystko szło błyskawicznie jak w kinie, precyzyjnie jak w zegarku. Ledwie pociąg podwiezie wielkie paki — już je zdejmują, do wielkich hal taszczą. Jeszcze na dachu klepią cieśle, a wewnątrz mechanicy już maszyny montują. Zapach smaru wyparł za pach świeżego wapna, pierwszy warkot maszyn zagłuszył ostatni stukot kielni.

W rok niespełna po zaczęciu się budowy, fabryka ruszyła.

— Psiakita — mówili gospodarze— żrebak tak prędko nie wyrośnie jak ta fabryka!

Mateusz został palaczem w kotłowni. A jego dwie morgi. choć nie tyrał teraz na nich całymi dniami jak dawniej, nie miewały się przez to, ani trochę gorzej. Zboże szumiało bujnie jak uprzednio.

W chacie co za zmiany! Garnki nowe, na łóżku stos poduszek pod sufit i kołdra atłasowa, dzieci obute, na komodzie patefon. W kościele ludzie się nie poznawali; kobiety zamiast chust miały na głowach kapelusze, gospodarze z krawatami, dziewczyny w cienkich pończochach. Namnożyło się rowerów, a śmiechu słyszało się więcej w ciągu jednego dnia niż ongi przez rok. W niedzielę po południu, Mateusz z żoną chodzili na pagórek, siadali na pniakach i długo patrzyli na fabrykę.

— Magda, pamiętasz jak wieprzak nam uciekł i tydzień po krzakach go szukaliśmy?

— Pewnie, że pamiętam. Spłakałam się wtedy z żałości.

— A teraz widzisz w tym miejscu stoi hala obrabiarek. Ha, ha, ha, ha....

— Hi, hi, hi, hi...

Potem znów ona go w bok trąca:

— Mateusz! Pamiętasz jakieś mnie pierwszy raz wycałował i przed chojakiem przydusił?

— No pewnie, portki sem wtedy o korzeń rozdarł.

— Adyć teraz, patrzaj, komin wielgachny w tym miejscu akurat stoł. Hi, hi, hi, hi...

Kochał Mateusz tę fabrykę, która mu przyniosła pracę, dobrobyt, szczęście.

**Z. K.**



# KRONIKA KULTURALNA

**KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI** w reportażu pt. „W zmaganiach z mazurskim Smętkiem" („Przekrój" Nr 118) dotyka spraw drażliwych i niezmiernie ważnych — mianowicie: repolonizacji tych Mazurów i Warmiaków, których pewna ilość pozostała na półrocznych terenach Ziem Odzyskanych. Najrozmaitsze przyczyny — przede wszystkim polityczne i gospodarcze — składają się na to, że spolszczyć tę ludność nie jest łatwo. „Powrót do swego narodu — zauważa mądrze Koźniewski — to jedna z trudniejszych spraw życia ludzkiego: trudna dlatego, iż w każdym zawodzie i w każdej ojczyźnie jest tyleż zła co i dobra, zła — co odtrąca i dobra — co wchłania". Toteż, gdy się kogoś chce pociągnąć z powrotem do ojczyzny, należałoby mu ukazywać w niej wszystko, co dobre. Czy możemy się dziś zdobyć na taką manifestację dobra wobec Mazurów — my, którzy mamy dusze przeszabrowane? Jest to, można powiedzieć, strona moralna zagadnienia repolonizacji Mazurów. Drugą stronę stanowi po prostu taktyka, umiejętność postępowania i współżycia z Mazurami nowej ludności polskiej, jaka się tam osiedla, tudzież naszych władz administracyjnych. Taktyka ta pozostawia dużo do życzenia, nie uwzględnia bowiem odrębności krajowych Mazurów, ich obyczajów i przyzwyczajeń do jakich się wdrożyli od wieków. Mimo rzeczone trudności repolonizacji, ma ona przed sobą — zdaniem Koźniewskiego — duże możliwości, dzięki wysilonej pracy dwóch ludowych uniwersytetów mazurskich — w Rudzikach i w Morągu, gdzie i wykładowcy są pełni ofiarności, i młodzież mazurska, ucząca się tutaj, pragnie powrotu na ojczyzny łono.

●

**W ARTYKULE** pt. „Drogi i manowce sztuki współczesnej" („Twórczość", zeszyt czerwcowy) Konrad Winkler cytuje następujące zdanie Pawła Valéry: „Prawie wszystko, co sztuce przeszłej dawało trwałość, teraz straciliśmy. Nikt nie pracuje dziś z tą myślą, że to, co robi teraz, może być oceniane w dwieście lat później". Dwieście lat?Mój Boże! Dante, Michał Anioł, Szekspir, Mickiewicz myśleli o tym, co o nich powie potomność za lat dwieście. Słowacki wierzył w „siłę fatalną" swej poezji,, która dopiero po śmierci jego będzie „gniotła niewidzialna" następne pokolenia, i z tą wiarą w przyszłość tworzył. Ale dzisiejsi artyści i pisarze! Hasłem ich jest: „byle jak i prędko", mówiąc słowami Boya: zgarnąć jak najwięcej tzw. forsy, wziąć przy pomocy stosunków i protekcji jedną i drugą nagrodę i w klice swojej otrzymać nominację na wielkość. Dwieście lat? Koń by się uśmiał. Oj, dziś — dziś...

●

**PIĘKNE WSPOMNIENIA** o Ludwiku Krzywickim ogłosił w Nr 15 „Nowin Literackich" Stanisław Stempowski. Szczególne wrażenie wywiera opis ostatnich dni życia Krzywickiego i jego śmierci, która nastąpiła w Warszawie, w ciężkich warunkach okupacji, dn. 10 czerwca r. 1941. Sędziwy uczony myślał tylko o uratowaniu i zabezpieczeniu rękopisu swej ostatniej wielkiej pracy pt. „Horda pierwotna". „Umierał — pisze Stempowski — jak przyrodnik - badacz, udzielając lekarzowi co pewien czas spostrzeżeń nad tym, co czuje i co się w jego organiźmie dzieje: Oto teraz przestałem widzieć — mówił"... Wspaniała to śmierć, zaprawdę sokratesowa. Taka śmierć może być tylko wynikiem szlachetnego i mądrego życia, wypełnionego pracą dla ludzkości.

●

**FRANCIS MIOMANDRE** jest felietonistą tygodniowym „Nouvelles Litteraires", które to pismo, niestety, nie jest w Polsce rozpowszechnione. Zofia Starowieyska — Morstinowa omawia w „Tygodniku Powszechnym" (Nr 113) jeden z felietonów Miomandre'a. Skarży się w nim autor na urzędowy, ciężki patos naszych czasów. O wszystkim trzeba dziś pisać i mówić ze straszliwą powagą, z ponurym namaszczeniem i dostojnością, uroczyście i sakramentalnie: o wszystkich tzw. osiągnięciach i zdobyczach, realizacjach i planowaniach. Miomandre zaś, jako Gallijczyk z krwi i kości, pragnąłby widzieć w życiu więcej żartu, ironii, dowcipu i humoru. Rzeczywiście, dobrzeby to było. Dobrze by było chodzić z uśmiechem na ustach.

**St. Łatka.**

# ZACZĘŁO SIĘ PRAWIE Z NICZEGO

Dwa i pół roku upływa od wskrzeszenia działalności P.S.S. Niewiele to jest co prawda, lecz, jeśli się zważy warunki w jakich przyszło pracować w początkowym okresie pierwszych tygodni i miesięcy, po straszliwym wyniszczeniu, po zupełnej dewastacji kraju przez okupanta, skoro się weźmie pod uwagę trudności spiętrzone przed kilkoma ludźmi, jacy stanęli do organizowania na nowo spółdzielni — trzeba przyznać, iż wyniki są znakomite. Jest zupełnie zrozumiałe, że były i są do obecnego czasu obok dodatnich stron i ujemne, że obraz całości nie przedstawia się idealnie i tak jak byśmy tego pragnęli. Lecz usunięcie braków to kwestia doświadczenia, wysnucia praktycznych wniosków z dotychczasowej działalności i zastosowania ich. Niemniej spółdzielczość łódzka zdała egzamin dobrze. Stanęła mocno i pewnie, przyczyniła się w wysokim stopniu do regulacji rynku spożycia, wypełniła funkcje rozdzielcze, trudne i zawiłe w okresie początkowym sumiennie i umiejętnie; zadania społeczno - wychowawcze, wynikłe z założeń ideowych spółdzielczości, już obecnie, po okrzepnięciu podejmuje i prowadzi dużym nakładem środków.

A zaczęło się prawie z niczego.

Jeszcze tu i owdzie ostatni maruderzy błąkali się po krańcach miasta, jeszcze w powietrzu unosił się swąd spalenizny, a ludność żyła pod wrażeniem strasznej zbrodni — spalenia żywcem setek więźniów w Radogoszczu, a już, dnia 19 stycznia 1945 r. w mieszkaniu kol. Błażeja Pokorskiego, przy ul. Piotrkowskiej 31, zebrali się ocaleni z pogromu działacze spółdzielczy: M. Grudzień, Wł. Jagiełło, Pokorski i Michałkiewicz. Należało bez straty czasu działać szybko i zdecydowanie. Zabezpieczyć pozostały po Niemcach majątek spółdzielni, którego nie zdołali zniszczyć, rozgrabić lub wywieźć. Z 85 sklepów, jakie P.S.S. posiadała przed wojną nie zostało nic, lub prawie nic Niemcy, hojni z cudzego, lekką ręką rozdali sklepy spółdzielni między swoich zasłużonych działaczy. Własne wytwórnie albo leżały w gruzach lub też żałosne ich szczątki obrabowane do reszty przez uciekających Niemców zdewastowane, czekały na prawych właścicieli i kapitalnego remontu. Magazyny tak samo przedstawiały się opłakanie i świeciły pustkami, dawni pracownicy zżyci z instytucją i przygotowani fachowo, rozsypani po szerokim świecie.

Przed trudnym zadaniem stanęły władze spółdzielni. Brak kapitałów własnych, bowiem fundusze statutowo przewidziane nie mogły nawet w przybliżeniu stać się podstawą jakichś poważniejszych operacji handlowych, a cóż dopiero mówić o inwestycjach, — niskość udziałów i wynikłe stąd trudności, należało pokonywać sposobami dostępnymi. Ratowano się kredytem. Przychylny dla spółdzielczości stosunek czynników decydujących dopomógł do wybrnięcia z trudnej sytuacji. Oczywiście, nie wszystko się tak układało, jakby można sobie życzyć, lecz, na ogół, rozbudowa postępowała szybko i sieć sklepów z 85 przed wojną, wzrosła do 300 obecnie. Wyremontowane zostały i uruchomione własne warsztaty produkcji, stworzone nowe. Dalsza rozbudowa produkcji własnej jest systematyczne realizowana. Spośród uruchomionych warsztatów produkcji wymienić należy: 12 piekarń mechanicznych, ciastkarnię, palarnię kawy, rozlewnię octu, kwaszarnię kapusty, szwalnię, warsztat szewski, warsztaty naprawy taboru. Uruchomiona została rozlewnia piwa oraz fabryka wód gazowych w Łodzi przy magazynach, a w Zgierzu duża fabryka cykorii, mogąca w zupełności zaspokoić zapotrzebowanie łódzkich konsumentów. Spółdzielnia jest właścicielem dwóch dużych młynów znakomicie ułatwiających nasycenie rynku spożywczego łódzkiego artykułami najpierwszej potrzeby. Na ostatku muszę wymienić bardzo poważne osiągnięcie — otwarto dnia 29 kwietnia br. na placu Barlickiego (dawny Zielony Rynek), wielką Halę Towarową, która posiada 37 sklepów — stoisk, urządzonych według wymogów estetyki i higieny, zaopatrzonych — według działów — w towary najróżnorodniejszego gatunku i jakości.

— — — — — — —

Spółdzielnia to nie tylko działalność handlowo - gospodarcza; ruch spółdzielczy ma do wykonania zakreślone ideowymi przesłankami cele. Musi kształcić i wychowywać. Wyłoniono więc wydział społeczno - wychowawczy, który w ramach finansowych możliwości rozwija ożywioną działalność. W zrozumieniu potrzeby przygotowania i przeszkolenia kadr wykwalifikowanych pracowników, podniesienia poziomu kwalifikacji już zatrudnionych i przygotowania nowych, działalność wydziału poszła w dwóch kierunkach: służenia pomocą korzystającym z kursów korespondencyjnych, oraz szkolenia we własnym zakresie zatrudnionych na terenie spółdzielni. Niezależnie od tego organizuje się odczyty z udziałem sił fachowych, pogadanki i biblioteki. Dotychczas przeszkolono 2.633 osoby, z tego 2.319 spośród zatrudnionych w P.S.S. Roztoczono opiekę nad spółdzielniami uczniowskimi, w tym roku wydział społeczno - wychowawczy P.S.S. organizuje kolonie letnie dla niezamożnej dziatwy, w miejscowości Ustronie pod Łodzią, obliczone na pomieszczenie, w trzech turnusach, 600 dzieci. Kolonie zaopatrzone we wszystkie urządzenia higieniczne, pod okiem lekarza i wykwalifikowanego personelu, mają świetlice, leżalnie do kąpieli słonecznych, boisko sportowe i tp.

Przedstawiwszy po krótce dotychczasowe wyniki działalności P. S. S., należy postawić sobie pytanie zasadnicze: czy P.S.S. wypełnia na terenie Łodzi rolę nakreśloną jej zadaniami spółdzielczymi w obecnych warunkach i koniukturze gospodarczej.

Czy i jakie braki dały się zauważyć w ciągu dwóch i pół roku. Jeśli chodzi o rolę P.S.S. to, nie wyolbrzymiając jej, musimy przyznać, iż szczególnie w obecnym stadium swego rozwoju P.S.S. stała się czynnikiem dominującym na rynku łódzkim. Szereg interwencji, ciągłe trzymanie ręki na pulsie potrzeb czyni z P.S.S. instrument walki o utrzymanie równowagi cen. P.S.S. bodaj że pierwsza wprowadziła kontrolę zakupów członkowskich, mogąc znakomicie przyczynić się do przyciągnięcia rzesz członkowskich, oraz zorientowania się w ich sile kupna i chłonności. Natomiast brakiem i to poważnym, na który choruje nie tylko P.S.S., ale i wszystkie spółdzielnie, to nikłość funduszów własnych, pochodząca z niskości udziałów członkowskich. Ten temat jest już zresztą przedmiotem rozważań czynników kierowniczych ruchu spółdzielczego.

Wacław Karczewski



Działacze Powszechnej Spółdzielni Spożywców. Od prawej: red. W. Karczewski, D. Wachowicz, prezes Tadeusz Janczyk.

## Młyn „Społem" (dawniej „Renoma") w Sieradzu

Mienie porzucone, przejęte w dzierżawę od Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego w Łodzi przez Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. „Społem" w kwietniu 1945 roku Młyn, znany dawniej pod nazwą „Renoma" Sieradz, ul. P.O.W. Nr 38, był dość silnie zdewastowany. Doprowadzony do stanu użytkowego przez ówczesnego jego kierownika p. Henryka Schwetzera w 1946 roku zaczął pracować, dając już w pierwszym roku 2.500.000 zł czystego dochodu.

Młyn urządzony jest nowocześnie. Napęd motorowy na gaz ssany o mocy 180 k. m. Zdolność przemiałowa Młyna wynosi 45 ton zboża na dobę. Zatrudnia 37 pracowników, pracując w 80 proc. dla aprowizacji kraju (zlecenie Min. Apr. i Handlu). Silosy młyna przystosowane są do zamagazynowania 240 ton zboża.

Z dniem 1 stycznia br. kierownictwo młyna powierzone zostało p. Józefowi Iwanowskiemu. Z powodu pęknięcia 2 głowic motoru młyn do czasu przywiezienia ich ze Szwajcarii i wymiany pracuje tylko na jeden blok, osiągając 40 proc. normalnej produkcji.

Mimo to w pierwszym kwartale rb. dał niewielkie nadwyżki w wysokości 250.000 złotych.

(a.)

## I Igrzyska Sportowych Klubów Spółdzielczych

w dniach 15, 16 i 17 sierpnia 1947 r. w Łodzi, w parku Hellenów odbędą się

**I IGRZYSKA SPORTOWYCH KLUBÓW SPÓŁDZIELCÓW**

Udział w Igrzyskach weźmie ponad 1.000 sportowców — spółdzielców z całej Polski.

Zespoły wyróżnione otrzymają nagrody, ufundowane przez centrale spółdzielcze i większe spółdzielnie terenowe.

W związku z Igrzyskami wydany będzie drukowany program zawodów z informacjami o działalności Sportowych Klubów Spółdzielczych, oraz licznymi ogłoszeniami placówek spółdzielczych w całym kraju.

Placówki Spółdzielcze zechcą się zwracać, w sprawach fundowania nagród i ogłoszeń, do Wydziału Wychowania Fizycznego i Sportu Z.Z.P.S., Warszawa, ul. Krasińskiego 16. Tel. 8-86-87.

## OD ADMINISTRACJI

**Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na miesiąc sierpień 1947 r. Zalegającym w opłacie Czytelnikom będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę pisma. Pieniądze należy wpłacać tylko do P.K.O. Warszawa na konto I/4766**

Z placówek wytwórczych „Społem"

## MŁYN MOTOROWY
### dawniej „Amerykanka" w Wieluniu

Jednym z najbardziej nowocześnie urządzonych młynów jest Młyn Motorowy „Społem" (dawniej „Amerykanka") w Wieluniu, ul. Rudzka 35, wybudowany bowiem został w 1927 r. W maju 1945 r. młyn przejęty został przez „Społem" na zasadzie dzierżawy od Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego w Łodzi.

Motor młyna na gaz ssany o mocy 120 k. m. wyposażony w aparaty automatyczne. Mechaniczne oczyszczanie zboża. Zdolność przemiałowa 30 ton ziarna na dobę. Pracowników zatrudnia 31.

Produkcja młyna w 40 proc. idzie na potrzeby aprowizacyjne kraju (Zlecenia Min. Apr. i Handlu). Dalsze 40 proc. przemiału —to dowóz ziarna okolicznych gospodarzy, a pozostałe 20 proc. przemiał własny, przeznaczony, na wolny rynek.

Obroty młyna w 1945 r. dały 2.348.000 zł, a w r. 1946 podniosły się do 16.000.000 zł. Na rok bieżący preliminowano je w kwocie 25.000.000 zł. Nadwyżki w 1945 r. wynosiły 855.232 zł., a w 1946 r.—770.324 złotych

Kierownikiem młyna od chwili jego przejęcia przez „Społem" jest p. Antoni Kubicki, pracujący w spółdzielczości 29 lat.

(a.)

## Fabryka Octu Spirytusowego
### w Piotrkowie Trybunalskim

Fabryka Octu Spirytusowego „Społem" w Piotrkowie Trybunalskim, ulica 3-go Maja Nr 27, istnieje od 1894 roku. Ongiś przedsiębiorstwo prywatne uległo następnie upaństwowieniu, a od maja 1945 roku oddane zostało pod administrację Związku Gospodarstwa Spółdzielni R. P. „Społem".

Obecnie Fabryka zatrudnia 30 pracowników, produkując 36.000 litrów 6-proc. octu miesięcznie.

Obroty fabryki za rok ubiegły osiągnęły kwotę 11.264.000 złotych. W roku bieżącym obroty te, zgodnie z preliminarzem budżetowym wzrosną o z górą 50 proc.

Pomimo bardzo przestarzałych aparatów, fabryka zajmuje pod względem jakości i ilości produkcji jedno z pierwszych miejsce w Polsce. Całą produkcję fabryki odbierają placówki handlowe „Społem", rozsiane po całej Polsce.

Kierownictwo Fabryki od 13 lipca 1945 roku spoczywa w ręku dyr. Franciszka Czajkowskiego, który w Spółdzielczości pracuje od 1939 roku, a na swoim ostatnim stanowisku dał się poznać, jako dobry organizator i równie zdolny handlowiec, dzięki energii którego placówka ta osiągnęła obecny swój poziom i — znajduje się na drodze do dalszego rozwoju. (a)

## Spółdzielnia Spożywców „MAZUR"
### w Łęczycy

Spółdzielnia Spożywców „Mazur" w Łęczycy, ul. Poznańska 17, powstała jeszcze w 1905 roku. W czasie okupacji niemieckiej została wywłaszczona z majątku, który oddano na własność i użytkowanie Niemce. Niemka musiała porzucić tę placówkę. Powstały po niej pełne magazyny towarów, które niestety zostały doszczętnie rozgrabione. Po odzyskaniu niepodległości, w lutym 1945 roku Spółdzielnia restytuowano, rozpoczynając pracę od początku.

Obecnie Spółdzielnia zrzesza 650 członków, zatrudnia 31 pracowników i prowadzi 81 sklepów, a w tym: 5 — kolonialno-spożywczych; 1 — specjalny z wyrobami monopolowymi, 1 z przyborami i artykułami szewskimi i 1 — włókienniczy.

Ponadto spółdzielnia posiada własną rozlewnię octu. Obroty Spółdzielni w 1946 r. osiągnęły kwotę 58 milionów zł, a na rok bieżący preliminowano je w wysokości 80 milionów zł. Tabor Spółdzielni składa się z 21 samochodów ciężarowych.

Kieruje Spółdzielnią 3-osobowy Zarząd w składzie: Franciszek Wyka — prezes i kierownik, Feliks Kubiak — sekretarz i Jan Kamiński — skarbnik. Zarząd projektuje uruchomienie: masarni, piekarni i fabryki wód gazowych oraz otwarcie składu opałowego.

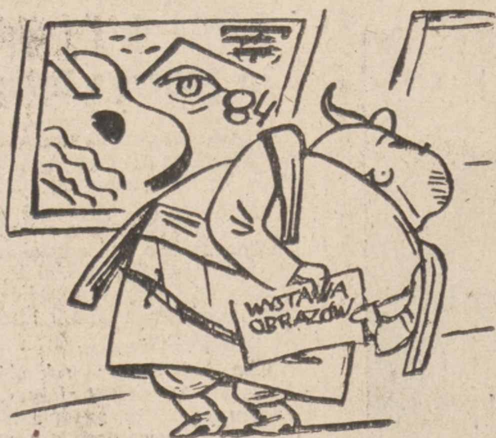
(a.)

# PRZYGODY ZAGŁOBY

*Rys. Jerzy Zaruba*

## FUTURYZM










...i realizm

# MIŁOŚĆ w piosenkach ludowych

Miłość jest wszędzie jednakowa, tylko wyraz jej może być inny. Inaczej kochają się Werter i Charlotta, inaczej Bartek i Kasia, a jednak miłość ich w gruncie rzeczy jest jedna i ta sama.

Chłopak wiejski, zbliżony więcej do przyrody, ukołysany pieśnią ludową, wykarmiony podaniami i klechdami ma wiele poczucia poetyczności. Poczucie to jest zależne od usposobienia, od warunków klimatycznych i innych okoliczności. Smętny na równinach, tęskny w stepach, staje się żywym i wesołym pośród gór i terenów tatrzańskich. Poetyczność ta przejawia się nie tylko w śpiewie, ale i w mowie pełnej obrazów i przenośni, w całym życiu człowieka, w jego pracy, obyczajach i zwyczajach.

Na jarmarku, odpuście, na targu lub przy żniwie ujrzał chłopak dziewczynę... serce mu drgnęło, uczuł się jakby nieswój. Jeszcze nie wie skąd niebezpieczeństwo zagraża, tylko czuje, że mu tęskno jakoś do modrych oczu, do złocistych włosów, do rumianej twarzyczki. Jakiś magnes ciągnie go ku niej, wszystkie jego myśli zebrały się w jedną wiązankę, która bezimienne jakieś uczucie coraz mocniej krępuje i zlewa w jedną całość. Wreszcie tajemnica na wierzch wypływa — na każdym atomie serca odbił się wizerunek dziewczyny: to miłość. Skąd mu to przyszło nie wie sam.

„Miłości, miłości! jakżeż ty przeklęta,
Z którejże ty świata części jest wyjęta?"
(piosenka krakowiaka)

Bądź co bądź trudna rada z tą miłością, bo pani ta, gdy raz w sercu zagości, nie łatwo się daje z niego wykurzyć, toteż chłopak ulega jej pokornie i idąc za głosem serca, często wynajduje sposoby spotkania się z dziewczyną i uważa się za szczęśliwego, gdy ma okazję porozmawiania z nią... Mylimy się jednak, mową nie zawsze jest organem wiejskich kochanków, najczęściej rozmawiają oni językiem powszechnym wprawdzie, ale nie dla wszystkich zrozumiałym. Wyrazami tej mowy są: oczy, uścisk ręki, a czasem lekkie szturknięcie w bok, lub po prostu pocałunek zdobyty przy odgłosie wcale nie teatralnego policzka, jakim wiejska Julia darzy swego Romeo. Czasem różne drobne usługi lub dary torują powoli młodzieńcowi drogę do serca wybranki! I oto chłopak, co trzech zliczyć nie umiał, stał się adeptem najstarszej pod słońcem sztuki.

Ale jak słusznie mówi piosenka ludowa: „Nauczyć się kochać, to najmniejsza praca".

A jednak w wielu razach miłość nie idzie, jak z płatka, owszem każdy jej postęp okupuje się bólem serca, cierpieniem duszy, bo:

Nie tak boli, gdy ukąsi
Okrutna gadzina,
Jako boli, gdy zczaruje
Kochana dziewczyna.

A gdy już, biedny „zczarowany" chłopiec znudzi się takim życiem, wówczas z gniewem woła:

Bodaj to ten nie żył, bodaj nie wiekował,
Kto pierwszy na świecie kochanie fundował.

Pierwszą ozdobą i zaletą wiejskiej dziewoi jest rumieniec wstydu!

Śpiewa słowik, śpiewa, gdy w gaiku siada,
Rumieni się panna, gdy z chłopczyną gada.

Wiejski chłopak nie jest zbyt wybredny, woli jednak piękną niż szpetną dziewczynę.

Brzozowa gałązka, zawsze się nagina,
Nie długo tam bawią, gdzie brzydka dziewczyna.
Piękny jaworeczek, piękna i sośnina,
Że się w tobie kocham, oczów twych przyczyna.

Pracowitość nie mniejszą jest zaletą każdej wiejskiej dziewczyny. Leniwa, opieszała, nigdy dobrze za mąż nie wyjdzie i często czeka ją staropanieństwo. Praca jej jednak nie jest uciążliwa, w porównaniu z tą, jaka ją czeka po ślubie, mówi o tym pieśń poleska.

Wdzięk dziewicy,
Codzień wieniec kłaść na skronie,
Codzień przejść się po ulicy,
W święto podać w tańcu dłonie.

Stosuje się to jednak do córek zamożnych gospodarzy, bo sierota lub biedna panna pracuje „jak wół", i wcale nie ma czasu na przechadzki i taniec.

Chłopak zawsze winien być wesół i skory do kieliszka, mówi o tym piosenka krakowska.

A przy piwie i dziewczynie
Jakoś człowiek w lepszej minie.

Często w pieśniach spotykamy się z zarzutem niestałości dziewcząt:

„Ile jest listeczków w lesie na drzewinie,
Tyle niestałości masz w każdej dziewczynie".

A na Mazowszu tak śpiewają:
Płyną chwile, płyną rychło,
Jako wody, rzeki,
Chłopiec dziewczę kochać będzie,
Kochać na wiek wieki.
Płyną rzeki, płyną rychło,
Wpadają do morza,
Wkrótce kochać zaprzestanie,
Krasna dziewa zorza.

Czasami w małżeństwie gra dużą rolę jakieś fatum miłosne:

Z czarnemi oczyma, gdy się zejdą siwe
Takowe małżeństwa bywają szczęśliwe.

Początki zawsze są trudne, toteż i pierwsza miłość

Jak się kogo imię
I oczy zasłoni i rozum odejmie.

Biedny chłopak chodzi wtedy jak osowiały:

Kochanie, kochanie — gorzej jak więzienie,
Z więzienia uzwolą, z kochania nie zdolą.

albo:

Zakochać się łatwo,
Odkochać się trudniej.

M. B.



— Widzisz, ona też ogryzała paznokcie.
(„die Weltwoche")

# NOWY KONKURS „TYGODNIA"

**ILUSTROWANE PRZYSŁOWIE**

**Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia, należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 7 sierpnia br.**

**Wśród Czytelników, którzy nadeślą trafne odpowiedzi rozlosowanych zostanie 5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH ORAZ 10 NAGRÓD — PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"**



zagadka Nr 2
Nowa zagadka w następnym numerze.

# WIELKI LOT „ORŁA“

(Dokończenie ze str. 7-ej)

morskiej i boji, ale także i jej współrzędne geograficzne. Wykreślając na białym arkuszu powyższe dane oficer nawigacyjny skonstruował coś, co zaopatrzył dumnym nagłówkiem:

## „Mapa Bałtyku Nr 1“

Była to niezwykła mapa nie rozróżniająca zupełnie lądu od morza. Nie było na niej ani jednego wzniesienia i ani jednej mielizny.

Tylko porozrzucane na papierze jak paciorki różańca krzyże latarni pozwalały się z grubsza domyślać przebiegu linii brzegowej. Niezapisaną białą przestrzeń pomiędzy nimi miało wkrótce wypełnić doświadczenie.

Z końcem września urwała się ostatnia nić wiążąca ORŁA z krajem. Słowami hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła“ radiostacja Warszawska zakończyła swą służbę. Po 27 dniach zaciętej walki stolica Polski zamilkła. W dwa dni później padł Hel. Było coś nieprzewidzianie smutnego w tej nagłej ciszy w eterze. Od jednego krańca skali do drugiego nie można było znaleźć ani słowa po polsku. „Pierwsza faza wojny o Polskę skończyła się dla nas klęską“ — mówił do zgromadzonej na podoficerskim pomieszczeniu załogi kapitan Grudziński. — „Ale da Bóg, ostatnia zakończy się zwycięstwem“!

Tymczasem z każdym dniem zmniejszał się stan ropy w zbiornikach, jednocześnie kurczyły się zapasy żywności, spadało ciśnienie w stalowych butlach z tlenem. Najdotkliwiej dawał się we znaki brak wody do picia. Wprawdzie ORZEŁ posiadał urządzenie destylacyjne, lecz uruchomienie jego wymagało od okrętu dużej szybkości, na którą kapitan Grudziński nie chciał się zgodzić, gdyż pociągała za sobą wysokie zużycie paliwa.

## „Idziemy do Anglii“

W tych warunkach dzień 6 października stał się dla okręgu datą przełomową. Oficer mechanik stwierdził, że całkowity zapas wody wystarcza zaledwie na jeden posiłek. Wprawdzie już od tygodnia załoga używała do mycia wyłącznie słonej wody, tym razem jednak konieczność zawinięcia do portu stanęła przed dowódcą w formie ostatecznej. Wybór wydawał się prosty: pozostawało albo poddanie się nieprzyjacielowi, albo internowanie przez neutralnych Szwedów. Kapitan Grudziński zdecydował inaczej:

— „Idziemy do Anglii“ — powiedział w mesie na odprawie. Przy tym powiedział to głosem tak prostym i skromnym, jakby miał na myśli najzwyklejsze w świecie ćwiczenie pokojowej. Tymczasem każdy, kto choć raz wypływał z Bałtyku na szerokie wody, wie, jak trudne do nawigacji są cieśniny Duńskie. ORZEŁ miał je forsować bez mapy wiedząc, że jest to odcinek silniej strzeżony przez nieprzyjaciela niż jakikolwiek inny rejon morza.

W tym sensie decyzja dowódcy była szaleństwem i wyglądała na wystawianie ludzi i okrętu na pewną zgubę. Jeden tylko niewielki srebrny ryngraf, zawieszony nad kołem sternika był dla kapitana Grudzińskiego potwierdzeniem, że się nie myli.

O godzinie 9 tego samego wieczora, gdy ORZEŁ podchodził do cieśnin radio brytyjskie podało w dzienniku wiadomość, że jakiś szwedzki statek zatonął na minie tuż pod Malmö. Biorąc raport powyższy za dowód istnienia w Sundzie niemieckich pól minowych kapitan Grudziński wprowadził ORŁA na terytorialne wody szwedzkie i odtąd posuwał się pod samym brzegiem. Morze było w tym miejscu wyjątkowo płytkie i usiane tysiącami skał, tak, że okręt musiał przez cały czas płynąć na powierzchni.

Od strony morza przesunęło się kilka zaciemnionych okrętów. Jeden z nich wyglądał na szwedzką kanonierkę, w pozostałych rozpoznano niemieckie torpedowce. Od czasu do czasu zapalały się na nich reflektory i przeszukiwały powierzchnię cieśniny.

## Pod Kopenhagą

Nagle błysnął reflektor z drugiej burty — od lądu. Smuga jasnego drżącego światła zbliżała się wolnym posuwem. Powierzchnia morza usiana grzywaczami fal mieniła się w jej odbiciu jak czarowna srebrna lama. Tymczasem obecnym na pomoście marynarzom zaparło oddech. — O zanurzeniu się mowy być nie mogło. Krawędź smugi dawała się już dosięgnąć kłębów spalin, unoszących się nad rufą. Wtem reflektor zatrzymał się. Przez dobrą minutę stał w miejscu, potem wolno zaczął się oddalać. Na ekranie sondy brązowa linia podskoczyła nagle ostro ku górze. Zanim zdołano zatrzymać motory, gwałtowny wstrząs zbił stojących z nóg. Po lewej burcie pod pokładem wygasły wszystkie światła. ORZEŁ siedział na skale... Padł rozkaz „Wszyscy na pokład“. We wnętrzu kadłuba pozostało tylko trzech mechaników. W pośpiechu rozdano pasy ratunkowe. Na zewnątrz burt rozległ się donośny bulgot, sprężone powietrze wydmuchiwało z sykiem resztki wody z balastów. Telegrafy ustawiono na „Całą naprzód“. „Zapomnieć o ograniczeniach... dać ile wiezie...“! — krzyczał do tuby dowódca. Diesle ryczały jak nigdy przedtem. Niemieckie torpedowce nie mogły ich nie słyszeć! Tymczasem płyty kadłuba zgrzytnęły o kamień. Trąc ciężko stopką o dno, ORZEŁ kilkoma zrywami przeskoczył przez skałę. Krótko przed północą zamajaczyła na zachodzie łuna świateł. Wśród bukietów rakiet i różnobarwnych neonów stolica Danii, Kopenhaga zażywała sobotniego wieczoru, zadowolona ze swej neutralności, szczęśliwa, — jakby owe 100 mil dzielące ją od Warszawy stanowiły dla przeznaczenia niedostępny perymetr.

Przejście przez Morze Północne było burzliwe i nieinteresujące, i ani na morzu, ani w powietrzu nie zauważono nawet śladu nieprzyjaciela. Wreszcie nadeszła sobota, dzień 14 października. Dla ORŁA była to 54 doba działań wojennych. O godzinie 11 rano w odległości 30 mil od wyspy ISLE OF MAY oficer wachtowy dostrzegł na horyzoncie sylwetkę okrętu. Przez mglistą przestrzeń mignęło światło reflektora, podając sygnał rozpoznawczy. Był to H. M. S. Velorous, który wyszedł im z Rosyth na spotkanie.

Gdy z pokładu brytyjskiego okrętu odezwała się trąbka na znak salutu po zapadłych policzkach dowódcy ORŁA potoczyły się łzy...

## Chcemy walczyć!

Po krótkim postoju w doku i remoncie maszyn ORZEŁ rozpoczął nową fazę operacyj wojennych, tym razem już z baz angielskich. Historia nie zapomni słów jakie padły z ust kapitana Grudzińskiego w odpowiedzi na proponowany mu przez przedstawiciela Admiralicji dłuższy odpoczynek: „Chcemy walczyć! Na odpoczynek przyjdzie kolej po wojnie!“...

Działając w ramach blokady Niemiec, ORZEŁ wykonał ogółem osiem operacyj u wybrzeży Norwegii i Skagerraku, atakując nieprzyjacielskie statki i rewidując neutralne. Był pierwszym sojuszniczym okrętem, jaki na 24 godziny przed wylądowaniem Niemców w Norwegii ujawnił zbliżającą inwazję przez wykrycie i zaatakowanie w samym wejściu do fiordu Oslo wielkiego, nieprzyjacielskiego transportowca. W nadziei, że uda mu się uciec, Niemiec udawał początkowo, że nie widzi polskiego okrętu ani flag podniesionych nad jego pomostem. Do wykonania sygnałów zmusiła go dopiero artyleria, a właściwie... strach przed nią. Zatrzymując maszyny nie podejrzewał nawet, że wycelowane są w jego burtę, działo nie było w stanie odpalić ani jednego strzału. Groźniej, cztero-calowej lufie brakowało zamka, który pozostał daleko w Tallinie. Trafiony dwiema torpedami „Rio de Janeiro“ spoczął na dnie wraz z całym ładunkiem wojska i broni.

## Ostatni patrol

23 maja 1940 roku kapitan Grudziński wyszedł z Rosyth na swój ósmy i ostatni patrol. Wydany w 3 tygodnie potem komunikat stwierdził, że od chwili opuszczenia portu ORZEŁ nie dał ani jednego sygnału, i że wobec tego admiralicja z żalem musi go uznać za zatopiony.

Admirał brytyjski — dowódca floty podwodnej — mówiąc o służbie ORŁA, tak ją scharakteryzował: „Wielka sprawność i poświęcenia z jakim ORZEŁ wywiązywał się ze wszystkich włożonych na niego zadań zjednały mu najwyższe uznanie, a rola jaką odegrał, była dla wysiłku wojennego sojuszników bardzo cennym wkładem“.

Nie wszyscy jednak podzielali to stanowisko władz. Tysiączne rzesze polskich marynarzy na wygnaniu do ostatniego dnia wojny powtarzały szeptem zasłyszane dzieś z daleka okrężną drogą wieści o zaginionych kolegach. Na przekór niemieckiej kwaterze głównej powtarzającej uporczywie w połowie maja komunikat o zatopieniu u wybrzeży Danii nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego, załogi nasze wierzyły, że ORZEŁ żyje! Że przedarł się na Bałtyk i niewidoczny dla nieprzyjaciela czeka na dnie Zatoki z zatrzymanymi maszynami... na sygnał...

Dzisiaj nie sposób jeszcze przewidywać, której z tych wersji przyzna pierwszeństwo historia. Być może zresztą ostatnie chwile tego wielkiego okrętu pozostaną dla nas na zawsze tajemnicą. Jedno tylko jest pewne, że wszędzie, gdziekolwiek staniemy nad morzem widok fal wędrujących z oddali przypominać nam będzie o ORLE, którego imię stało się odtąd dumnym skarbem całego Narodu...

**Józef Bartosik**

# LISTA NAGRODZONYCH CZYTELNIKÓW

za rozwiązanie zadań zamieszczonych w ramach IV-go Konkursu „Tygodnia“ na rozrywki umysłowe oraz zadań pozakonkursowych.

Nagrody książkowe otrzymują:

Wiesław Nowicki, Warszawa, ul. Twarda 62—14, Jan Turek, Kraków, ul. Grzegórzecka 8—51. Tadeusz Szczudłowski, Lublin, ul. Szopena 9, Wanda Zalewska, Warszawa, ul. Białołęcka 27—5, Dorota Niemcowa, Bielsko, ul. Zielona 10—4, Erazm Grójnacki, Warszawa, ul. Mickiewicza 27, Halina Braumanowa, Gorlice, ul. 3 Maja 18, Edmund Świderski, Łódź, ul. Abramowskiego 1—3, Tadeusz Kubiczek, Świętochłowice, Górny Śląsk, kopalnia „Polska“. Czesław Zaborowski, Chełmża, ul. Strzelecka 5, Irena Salm, Łódź, ul. Mostowa 5, Dr Stanisław Kaszubski, Otwock, ul. Żeromskiego 4, Witold Nowicki, Radość, koło Warszawy, Al. 3 Maja 10a, Halina Szumerowska, Sosnowiec, ul. Lwowska 3/I—57, Anna Rafińska, Katowice, ul. Plebiscytowa 26, Ignacy Janowski, Łódź, ul. Piotrkowska 25-47, Czesława Tutajowa, Zakopane, ul. Strążyska 2740, Stanisław Walczyński, Częstochowa, Al. Najświętszej Marii Panny 7—7, Tatiana Sochacka, Łódź, ul. Daszyńskiego 25—49, Maria Jachowicz, Kraków, Plac Serkowskiego 6, Danuta Homolicka, Olsztyn, Plac Daszyńskiego 8, Zofia Marcinowiczowa, Leśna, pow. Lubań, ul. G. Morcinka 211, Edward Balasiński, Kielce, ul. Wspólna 5, P.Z.U.W., Franciszek Baranowicz, Konin, ul. Żwirki i Wigury 11, Kamilla Grygerowa, Warszawa, ul. Szustra 20a m. 6, Roman Zabiegaj, Warszawa, ul. Wieńska 2/4, Wojskowy Sąd PKP, Wanda Orłowska, Warszawa, ul. Hoża 68.

Nagrody zostaną przesłane pocztą.

**1 REBUS**
Nic tak szybko nie mija, jak lata.

**2 KRZYŻÓWKA SYLAB.**
STO LA
PA PA WE RY NA
RA CA ZY CJO SA
BO RA KA NA MA
O I TO LI RA
MA TE RIA LI STA
ZA BELT

**6 REBUS**
Oko to do serca otwór.

**7 REBUS**
Sztuka stosowana nauki warta.

**4 REBUS**
Nigdy nie oddamy Ziem Odzyskanych szwabom.

**3 CIĄGÓWKA**
RNŁOSZNU
AOENIZML
GRZEWYER
OZERSZDY
PSSŁYIND
IAOORWAŁ
LWSWIIKL
EANIKAKI

**9 REBUS**
Trzy razy odmierz, a raz ukraj.

**13 REBUS**
Potrzeba zaostrza myśl i wenę.

**5 KRZYŻ MAG.**
KSM
ATA
TAR
KATARAKTA
STARUSZEK
MARASKINO
KZI
TEN
AKO

**10 WIRÓWKA**
OGRAJAERNRANALAKO
NWOACRLSIZGAZWNAN
IANDAGEACYENEKYTI

**11 LOGOGRYF**
KARA
OLIWA
NAWA
KOLBA
URAN
RABAT
SAPY
ATLAS
URAZ
TARAN
ODRA
RUPIA
STOP
KRUPA
IRIS

**12 REBUS**
Wszystko ma swoje granice i cel.

**8 KRZYŻÓWKA**
PORAJ ZAKOS
OMAN GAFA
SEZAM TAPIR
ANETAP KOTARA
G MODERATOR F
MATAPAN
PUDEL
MONOLIT
I KOLIMATOR H
SAIMAA NERUGA
LUZEM REMUS
AMEN RAMA
MALTA BOKAN

**14 REBUS**
Kiedy pokojowa nastanie era?

**15 REBUS**
Gram pokory cieszy więcej, niż funt buty.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ IV KONKURSU „TYGODNIA“

# V KONKURS „TYGODNIA“

## na rozrywki umysłowe

W Nr 28 (52) „Tygodnia“ ogłosiliśmy V konkurs naszych rozrywek umysłowych, który trwać będzie do 1 września br. Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia“ Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 15 września br.

Prosimy o nadsyłanie nowych zadań.

*Ut. J. Janiewicz*



*Jadwiga Żylińska*

# MODA
## POPRZEZ HISTORIĘ



*Angielka według mody londyńskiej*

Powszechnie wiadomo, że Anglicy lubią podróżować. Jeden z współczesnych felietonistów angielskich twierdzi, że ta inklinacja do wojażów ma swoje źródło w kuchni angielskiej, od której choćby od czasu do czasu mieszkańcy Wielkiej Brytanii ratują się wyjazdami do innych krajów.

W tym momencie trzeba przypomnieć, że chociaż dla narodu, który dysponuje imperium, wyjazd do Francji jest raczej wycieczką weekendową nie podróżą, Anglicy zawsze nade wszystko lubili jeździć do Paryża. Fakt, że przybywali tam nie raz w charakterze zwycięzców nie nadwyrężał specjalnie ich stosunków z Francuzami, jako, że nigdy nie były zbyt dobre.

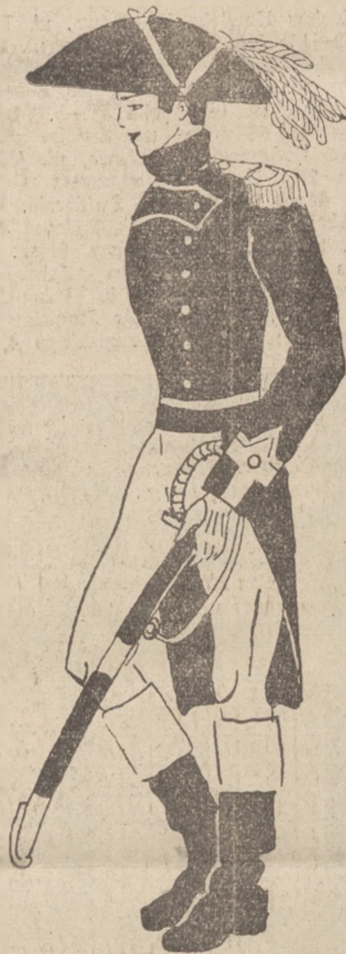
Francuzi utrzymywali, że Anglicy nie są „fair" w polityce, a Anglicy twierdzili, że Francuzi są brudni w dosłownym tego słowa znaczeniu, gdyż się nie myją. Zresztą ta wymiana poglądów nie wpływała na wzajemne relacje, które zawsze były bardzo żywe, oparte na przyzwyczajeniu. Ostatnia wojna przerwała na przeciąg prawie pięciu lat kontakty Anglii z Francją, a zdarzyło się to już po raz drugi w historii nowożytnej, gdyż wojny napoleońskie przerwały je po raz pierwszy.

Podczas krótkiego okresu, który nastąpił po zawarciu pokoju w Amiens (1802 r.) Anglicy byli po raz ostatni w Paryżu, po czym musieli czekać aż do roku 1814. Za to zaraz po abdykacji Napoleona zjechali tłumnie do Paryża dyplomaci, arystokracja i bogata burżuazja, aby popatrzeć na Austriaków, Rosjan, Prusaków, własne zwycięskie wojska, no i na paryżanki.

Teraz też dopiero wyszło na jaw, jak fatalnie odbiła się ta utrata kontaktu z Paryżem np. na wyglądzie Angielek. Bo co tu dużo mówić, Angielki nigdy nie odznaczały się szykiem, za to wielką ekscentrycznością, a gdy teraz po dwunastu latach przerwy zjawiły się w Paryżu w swoich sukniach, wąskich u dołu, szerokich w biodrach, o niskich i wysokich koinerzykach; w kapeluszach płaskich, przybranych fioletową woalką i na ramieniu z szalem w kolorze np. żaby, wzbudziły niemałą sensację. Nie można się więc dziwić, że oficerowie angielscy zaczęli uganiać się za paryżankami, które ach, jakże piękne wydały się im po tyloletnim niewidzeniu! Ale piękne też były w rzeczywistości. Moda paryska nakazywała w owym czasie nosić suknie luźne, prosto od wysokiej talii, zaznaczonej szarfą lub aksamitką. Suknie bywały w kolorach jasnych, czasem białe, przybrane haftami i plisowanymi falbankami. Nie długo już zaczną wchodzić w modę krynoliny i tiurniury, ale na razie jeszcze obowiązują wąskie biodra i strzeliste uda, modne od czasów Dyrektoriatu, a może trochę wcześniej nawet, bo od ostatnich lat panowania Marii Antoniny.



*Paryżanka*



*Rys. J. Żylińska*

*Oficer angielski*



*Angielka w modelu paryskim*

Z linią sukien nie bardzo harmonizują kapelusze. Paryżanki noszą bowiem kapelusze straszliwie wysokie, przybrane piórami, kwiatami i wiązane pod brodę. Niemniej jednak w tej całości jest pewien styl — chic parisien — który niebawem damy angielskie zaczną naśladować. Moda paryska stanie się wkrótce dla nich obowiązująca. Ale co dziwniejsze, to to, że ów fason angielski, powstały w ciągu dwunastu lat Splendid Izolation na wyspie, zniknął tak doszczętnie, że w ogóle nie zaważył na modzie europejskiej i pozostał jedynie uwieczniony w żurnalach — jako curiosum. Natomiast jeżeli chodziło o mężczyzn to cała sprawa przyjęła odwrotny obrót. Nie wiadomo czy Francuzi, upokorzeni klęską przestali się interesować modą, czy zwycięscy Anglicy stali się tak atrakcyjni, że zaćmili swoim wyglądem wszystkich innych, dość, że od tego czasu właśnie datuje się triumf mody angielskiej w dziedzinie męskiego ubioru.

Spodnie na ogół zostały zastąpione przez bryczesy i długie buty. Kolory jaskrawe zaczęły wychodzić z użycia. Wprawdzie oficerowie angielscy noszą mundury w kolorze czerwonym, ale marynarki cywilów są w kolorach tabaczkowych, popielatych i granatowych. Powoli zaczynają się w męskiej modzie ustalać pewne zasady, które obowiązywać będą przez cały wiek XIX i przejdą do wieku XX.

Ten triumf mody angielskiej w świecie męskim jest niewątpliwie wynikiem przesłanek natury psychologicznej. Przez cały wiek XIX Anglicy będą reprezentowali kategorię zwycięzców, panujących nad światem. Imitowanie ich wyglądu, sposobu zachowania i przede wszystkim ubioru jest wyrazem — może nieuświadomionej — ambicji zajęcia dominującej pozycji na świecie.

# Z DWORU ANGIELSKIEGO



Księżniczka angielska Elżbieta i jej narzeczony porucznik Filip Mountbatten.



Król, królowa i księżniczki angielskie opuszczają katedrę św. Pawła w Londynie.


# TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715

Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O Warszawa Nr I-4766

Ogłoszenia: za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej

Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka" Warszawa Smolna 12 B-34952


**NASTĘPNY NUMER POŚWIĘCONY— —POWSTANIU WARSZAWSKIEMU**